

Barbara Cartland

Madonna wśród lili

Who Can Deny Love?



Rozdział 1

Rok 1802

Markiz Fane jechał swoim wspaniałym powozem przez ulicę św. Jakuba świadom, że zarówno jego wrogowie, jak i przyjaciele patrzą na niego z nie ukrywaną zawiścią. Lecz to nie konie wzbudzały zazdrość i gwałtowne emocje, lecz sama osoba markiza. We wszystkim, co robił, był zbyt dobry, toteż nic dziwnego, że przyłgnęła do niego etykieta postaci kontrowersyjnej. Nawet w kręgach zbliżonych do księcia Walii, w których się obracał, cieszył się nie najlepszą opinią.

Jako wybitnego sportsmena szanował markiza cały sportowy świat, a jednocześnie ci, którzy z nim współzawodniczyli w wyścigach konnych, nie ukrywali do niego niechęci. Markiz był zawsze tak pewny swego zwycięstwa, że jego przeciwnicy mieli mu za złe, iż nigdy nie pozwala im wygrać. W innych konkurencjach było podobnie, zwłaszcza w podbojach miłosnych markiz zawsze sprzątał przed nosa najpiękniejsze kobiety i to zarówno swoim przyjaciołom, jak i wrogom. Fama głosiła, że zostawił za sobą więcej złamanych serc niż jakikolwiek dandys ubiegłego stulecia. Jego romanse drażniły nawet samego księcia Walii.

- Nie rozumiem, co one w tobie widzą, Fane - zauważył z niesmakiem książę zaledwie przed tygodniem.

Było to wówczas, kiedy okazało się, że tancereczka z opery, którą sobie upatrzył, jest protegowaną markiza. Jego królewska mość nie potrzebował odpowiedzi na to pytanie, gdyż nasuwała się ona sama. Markiz był nie tylko mężczyzną wybitnie przystojnym, lecz także wyjątkowo bogatym. Posiadał skarby nagromadzone przez swych przodków od czasów panowania królowej Elżbiety. Był bardzo pewny siebie, cyniczny i przyznawał otwarcie, że mimo wielu miłosnych awantur nigdy nie był naprawdę zakochany.

- Nie ma takiej kobiety, która by się oparła pokusie naprawienia rozpustnika - powiedział poprzedniego wieczora pewien starszy już członek klubu White'a. - Lecz jeśli chodzi o markiza Fane, to próbuje on gasić pożar lasu kubelkiem wody.

Tę kąśliwą uwagę sprowokowała wiadomość, że lady Izabela Chatley opuściła Londyn z powodu - jak podały gazety - niedyspozycji zdrowotnej wymagającej zaczerpnięcia świeżego wiejskiego powietrza. Dla nikogo nie pozostawało jednak tajemnicą, że ani wieś, ani świeże powietrze nie są w stanie uleczyć jej złamanego serca, i że powodem jej cierpienia jest właśnie markiz Fane. Znudziła go już na początku kwietnia, a pod koniec miesiąca wszyscy wiedzieli o jego wobec niej obojętności i musieli wysłuchiwać jej ciągłych narzekań i biadań, że lepiej by było, gdyby umarła.

Jej poddanie się losowi i wyjazd na wieś sprawił ulgę tym wszystkim, którym dokuczyły wieczne skargi porzuconej damy. Jednocześnie wszyscy byli zgodni co do tego, że markiz postąpił z nią niegodnie. Wiedział przecież rozpoczynając z nią romans, że lady Izabela należy do gatunku kobiet oplatających się dokoła mężczyzny niczym bluszcz.

- I wcale go nie tłumaczy, że zafascynowała go swą niepospolitą urodą! - powiedział w zamyśleniu inny członek klubu. - Wszystkie ofiary zalotów Fane są piękne. Mam mu za złe, że jest tak obojętny na uczucia innych. Nie zdaje sobie sprawy, jak bolesne konsekwencje może mieć jego krótkotrwałe zainteresowanie.

Mężczyźni przysłuchujący się wymianie zdań dwóch dżentelmenów pomyśleli, że wystarczyłaby im połowa tych sukcesów u płci pięknej, jakie bez wysiłku odnosił markiz Fane. Sącząc brandy i zastanawiając się, jak spędzić dalszą część wieczoru, przyznawali w duchu, że markiz potrafi czerpać z życia więcej przyjemności, niż im się udawało. Ta

myśl napawała ich taką goryczą, że nawet o tym głośno nie mówili.

Markiz, ze zręcznością, którą wykazywał we wszystkich innych czynnościach, skręcił z ulicy Św. Jakuba w stronę Carlton House. Był niezadowolony, że księżę posłał po niego, gdyż zamierzał po powrocie do domu przy Berkeley Square i włożeniu wieczorowego stroju wybrać się na kolację do lady Abbott. Dama zwróciła jego uwagę na wczorajszym przyjęciu w Devonshire House, ponieważ miała na sobie suknię tak przejrzystą, że kiedy wszedł do salonu, stanął oniemiały, bo mu się zdawało, że jest kompletnie naga.

Spotykał już lady Abbott przy innych okazjach, lecz nie przypuszczał, że ma aż tak doskonałe kształty. Dopiero przezroczyta szata sprawiła, że dostrzegł je w całej okazałości. Wtedy doszedł do wniosku, że lady Abbott jest godna czegoś więcej niż przelotne spojrzenie, a nie miał najmniejszych wątpliwości, że nie będzie miała nic przeciwko temu. Jej ciemne włosy i zielone oczy przywodziły mu na myśl panterę. Kiedy rozmawiał z nią w ogrodzie, przekonał się, że potrafi flirtować w sposób wręcz prowokujący i jest przy tym bardzo zabawna. Podobnie jak księżę Walii lubił kobiety, które potrafiły mówić o miłości, jak też błyszczeć w towarzystwie.

Choć ostrożne matki chowały przed markizem swoje pociechy, jakby samo jego spojrzenie mogło zbrukać młode dziewczęta, on sam w istocie nie interesował się nimi wcale. Zdawało się, jakby nie dostrzegał ich obecności. Czasami krewni odważali się zwracać mu uwagę, że powinien pomyśleć o ożenku, ale markiz natychmiast zmieniał temat rozmowy. Jeśli już myślał o małżeństwie, zdawało mu się, że powinien związać się z wdową, która by rozumiała prawa rządzące w świecie, w którym się obracał, i co ważniejsze, pobyła jego potrzebie ciągłych zmian i rozrywek.

Markiz niczego nie obawiał się tak bardzo jak nudy. Unikał jak ognia sytuacji, w których mógłby się czuć znudzony nawet przez pięć minut. Dlatego kochał wyścigi, boks, polowania, zapasy, gdyż to wyzwalało w nim energię. Zdobywanie atrakcyjnej kobiety bawiło go tylko wówczas, gdy zaloty wymagały niemałego trudu. Problem polegał na tym, że kobiety poddawały się zbyt szybko i zbyt łatwo i - choć cieszył się na spotkanie z lady Abbott, nie opuszczało go niemiłe Wrażenie, że ta przygoda zakończy się podobnie jak inne i że lady Abbott jak jej poprzedniczki skapitułuje niemal natychmiast.

Markiz zatrzymał konie przed wspaniałym portykiem pałacu wspartym na korynckich kolumnach wzniesionych przez Henry'ego Hollanda. Budowa Carlton House wciąż jeszcze nie była zakończona, lecz pałac wzbudzał już zachwyt przyjaciół księcia i kąśliwe uwagi jego oponentów zwracających uwagę na kolosalne koszty tego przedsięwzięcia. Było ogólnie wiadome, że długi księcia sięgały pół miliona funtów. Większość tej sumy pochłonęła przebudowa i dekoracja ogromnego pałacu, w którym, jak zapewniali świadkowie, nie było miejsca bez złocień czy ozdób. Niektórzy mówili otwarcie, że pałac w swym ostentacyjnym przepychu jest aż wulgarny.

Markiz uważał, że książę ma jednak dobry gust i choć zdawał sobie sprawę, że wydaje on nie swoje pieniądze, był przekonany, że potomni nie wezmą mu tego za złe. Wchodząc do monumentalnego westybulu z rzędem jońskich kolumn z brązowego sieneńskiego marmuru, z którego biegły ku górze schody, był pełen uznania dla zmysłu artystycznego księcia.

Książę Walii odebrał kosmopolityczne wychowanie i wykształcenie i gdy tylko sytuacja po Rewolucji na to pozwoliła, posyłał przyjaciół i specjalnych agentów, żeby kupowali dla niego we Francji meble i inne dzieła sztuki.

Sprowadzano więc dla niego obrazy, zegary, brązy, porcelanę, gobeliny. Wstępując bez pośpiechu na schody markiz pomyślał, że dzięki pośrednikom z Londynu książę zdołał zgromadzić największą kolekcję dzieł sztuki, jaką kiedykolwiek posiadał Anglik, nawet przyszły monarcha. Sam markiz pomagał w uzupełnieniu tej kolekcji o obrazy Greuze'a, Le Nain i Claude'a. Zostały one zawieszane w nowych komnatach przy zachowaniu zasad drogich każdemu miłośnikowi sztuki.

Tak się złożyło, że choć w otoczeniu księcia znajdowali się ludzie bardzo inteligentni, jednak nikt nie był takim koneserem sztuki jak markiz. Działo się tak pewnie dlatego, że odziedziczone przez markiza obrazy i inne skarby były niemal równie cenne jak te, które były w zbiorach księcia. Markiz wiedział, że królowa często mówiła ze złością:

- Markiz Fane tylko dlatego namawia George'a do wydawania pieniędzy na dzieła sztuki, żeby się przed nim pochwalić tym, co posiada.

Nie była to prawda. Markiz nie mógł nic na to poradzić, że książę Walii, który często bywał u niego w Hertfordshire czy też przy Berkeley Square w Londynie postanowił, że musi prześcignąć przyjaciela.

A teraz książę czekał na niego w saloniku utrzymanym w stylu chińskim, który to styl bardzo się rozpowszechnił w Anglii po 1750 roku. Książę upodobał go sobie, kiedy ujrzał świątynie i pagody zbudowane przez wybitnego architekta Williama Chambersa dla jego babki w Kew. Nie tak dawno książę posłał swego agenta do Chin, żeby zakupił dla niego umeblowanie do tego pokoju. Mówiono, że zapłacił za nie sześć tysięcy osiemset funtów, w tym za same lampiony czterysta czterdzieści. Tego wieczora jednak księcia nie interesował wystrój tego pokoju, lecz wyłącznie obraz stojący

na podłodze i oparty o jedną z kanap. Właśnie się w niego wpatrywał, gdy zaanonsowano markiza.

- Jesteś nareszcie, Virgo! - powiedział odrywając wzrok od obrazu. - Diabelnie dużo czasu zajęło ci przybycie tutaj!

- Proszę mi wybaczyć - tłumaczył się markiz - lecz nie było mnie w domu, gdy nadeszła wiadomość od waszej królewskiej mości. Gdy tylko wróciłem, natychmiast pospieszyłem do Carlton House.

- Dobrze, że w końcu się pojawiłeś - powiedział książę. Podejdź i popatrz na to!

Markiz przeszedł przez pokój bez specjalnego zainteresowania. Spodziewał się, że za pilnym wezwaniem księcia kryje się coś więcej niż jeszcze jeden obraz. Pochlebiało mu jednak, że książę zawsze zwraca się do niego, gdy zamierza dokonać zakupu kolejnego dzieła sztuki. Równocześnie żałował, że nie wziął w domu kąpieli i nie przebrał się, bo mógł przecież prosto z Carlton House udać się do lady Abbott.

Obraz był stosunkowo duży i, co rzucało się w oczy, w doskonałym stanie. Płótna, które książę nabywał były najczęściej poczerniałe ze starości i bardzo zniszczone, i kiedy w końcu przeprowadziło się renowację, okazywało się, że nie spełniały pokładanych w nich nadziei. Tym razem był to niewątpliwie dobry obraz i po dokładnym obejrzeniu go markiz powiedział cedząc słowa:

- Wszystko wskazuje na to, że to van Dyck.

- Tak też mi powiedziano - rzekł książę. - Jednak przyjrzyj mu się, Virgo, dokładnie. Czy niczego nie zauważyłeś?

Ton głosu księcia sprawił, że markiz zaczął intensywnie wpatrywać się w obraz. Szaty Madonny były w kolorach czerwonym i ciemnoniebieskim, charakterystycznych dla stylu Dycka. Również mistrzowsko odmalowane ręce stanowiły

wizytówkę artysty. W różowym i pulchnym dzieciątku szczególnie pięknie przedstawionym było wiele psychologicznej prawdy. Kiedy przyjrzał się jednak twarzy Madonny, w jego oczach pojawiło się zdumienie. Książę, który go pilnie obserwował, uśmiechnął się.

- Zauważyłeś, prawda? Tak też myślałem. Uderzyło mnie to w pierwszej chwili, gdy tylko zobaczyłem obraz.

- Jest w istocie bardzo podobna.

- To nie ulega żadnej wątpliwości - powiedział książę. - Popatrz tylko.

Wyjął zza sofy inny obraz, odwrócił go i ustawił obok van Dycka. Płótno przedstawiało Madonnę. Książę i markiz uznali je w zeszłym roku za szczególnie cenny zakup, gdyż malowidła Stephana Lochnera, dobrze znane na kontynencie, w Anglii były rzadkością. Jednak księciu udało się zdobyć jedną z jego „słodkich” Madonn. Była to postać ujęta tak finezyjnie i delikatnie, że zdawała stapiać się z tłem.

Obraz sporo kosztował. Marszand, który zakupił go w imieniu księcia, nie był w stanie wiele powiedzieć o jego historii poza tym, że pochodził z prywatnej kolekcji. Książę obejrzawszy obraz Lochnera wpadł niemal w ekstazę, również markiz się nim zachwycił.

Nie był wprawdzie człowiekiem sentymentalnym tak jak książę, lecz malowidło wzbudziło w nim wielkie emocje. Patrząc na nie odnosił wrażenie, jakby słuchał średniowiecznych ballad miłosnych śpiewanych przy wtórze szpinetu.

- Tam do licha! - powiedział do siebie, gdy został sam. - Szkoda że mnie nie trafiła się taka okazja!

Obraz wciąż go prześladował i gdy tylko odwiedzał Carlton House, a zdarzało się to kilka razy w tygodniu, zawsze wchodził do saloniku, gdzie go zawieszono. Na jego odwrocie

widniał wyraźnie napis Madonna wśród lilii. Nie było wątpliwości, że zrobiony był dużo później niż sam obraz.

Patrząc na nowy nabytek księcia markiz pomyślał, że chyba wzrok go myli. Ta sama twarz została sportretowana na obrazie van Dycka. Kompozycja była oczywiście inna, lecz nie sposób było nie zauważyć, że twarze obu Madonn są identyczne. Te same wielkie oczy, ten sam prosty nos, pięknie wykrojone wargi, wyraz zachwyty w twarzy, coś na podobieństwo niebiańskiej ekstazy.

- To wprost niezwykle! - powiedział w końcu markiz.

- Też tak uważam - rzekł książę. - Jak to możliwe. Chyba że van Dyck skopiował malowidło Lochnera.

- Wykluczone! - odparł markiz. - Z tego, co o nim wiadomo, był zbyt dumny ze swego talentu, żeby kopiować dzieło innego malarza, a ponadto zawsze angażował modela.

- Jest niemożliwością, żeby miał tę samą modelkę, co Lochner - zauważył książę.

Markiz pokiwał głową wiedząc, że kiedy radni Kolonii w siedemdziesiąt lat po śmierci Lochnera pokazywali Durerowi z dumą jego Hołd Trzech Króli, nie byli w stanie nic więcej powiedzieć o wielkim artyście jak to, że pochodził z Merseburga i zmarł w przytułku dla ubogich. Ogólnie przyjmuje się, że jego śmierć musiała nastąpić pomiędzy 1451 a 1460 rokiem. Jakby domyślając się, nad czym markiz się zastanawia, książę odezwał się:

- Van Dyck urodził się w 1599 roku, a zmarł w Londynie w 1641 roku.

- Zatem musiał skopiować obraz Lochnera przebywając za granicą.

- Chyba tak - powiedział książę - ale to dziwne, bo żaden z jego obrazów nie przedstawia twarzy podobnej do tej i na żadnym postaci kobiecej nie jest tak uduchowiona.

- To prawda - zgodził się markiz. - Myślę jednak, że malowidło jest oryginałem a nie kopią.

- Isaacs, który mi dostarczył obraz, twierdził, że jest to najlepszy van Dyck, jakiego kiedykolwiek widział.

- A jednak pozbył się go! - zauważył markiz cynicznie, a po chwili zastanowienia dodał: - Czy to nie Isaacs dostarczył waszej królewskiej mości także Lochnera?

- Tak, oczywiście - odrzekł książę, nie odrywając oczu od obrazu - spójrz tylko na fałdy jej szaty, przyjrzyj się cerze Dzieciątka, wszystko to jest charakterystyczne dla van Dycka.

Markiz zauważył jeszcze inne podobieństwa oprócz twarzy, których mniej doświadczony obserwator nie byłby się dopatrył. Choć szata Madonny wśród lilii była zupełnie inna od tej na obrazie van Dycka, markiz będąc wytrawnym znawcą sztuki dostrzegł, że pociągnięcia pędzla są identyczne na obydwu obrazach. Było w nich jeszcze inne podobieństwo, którego nie potrafił Wyrazić słowami. Patrzył na obydwa płótna i instynkt, który go jeszcze nigdy nie zawiódł, podpowiadał mu, że jest w nich coś podejrzanego. Widząc, że książę czeka na jego werdykt, westchnął:

- To wszystko jest bardzo dziwne, ale nie potrafiłbym teraz nic powiedzieć. Mogę tylko obiecać waszej królewskiej mości, że spróbuję dowiedzieć się, skąd Isaacs zdobył te dwa obrazy.

- Doskonały pomysł!

- Czy wasza królewska mość kupował już od niego poprzednio?

- Tylko tego Lochnera - odrzekł książę. - Przyniósł mi wprawdzie dwa lub trzy portrety, ale je odrzuciłem, nie pytając nawet ciebie o radę. Przypominasz sobie, jak bardzo nas obu zachwycił ten Lochner. - Książę przerwał, a po chwili dodał: - Zapłaciłem za niego sporą sumę, lecz wciąż uważam, że wart był swojej ceny.

- Ja też tak myślę - potwierdził markiz. Na jego ustach zaigrał uśmieszek, kiedy sobie przypomniał, że podczas gdy księżę targował się o cenę, on zapłacił rachunek.

- Niech no się zastanowię - powiedział księżę chwytając się za głowę. - W ubiegłym roku Isaacs przyniósł mi El Greca, który był zbyt zniszczony, i kiepskiego van Dycka, na którego także się nie zdecydowałem.

- Czy coś jeszcze?

- To by było wszystko aż do dziś, kiedy mi zaproponował ten obraz.

- Jest rzeczywiście doskonały - powiedział markiz. - Lecz radziłbym, żeby wasza królewska mość me wspominał o podobieństwie do obrazu Lochnera, dopóki nie dowiem się wszystkiego.

- Zostawiam ci wolną rękę, Virgo - powiedział księżę. - Wiesz, że polegam na twoim zdaniu we wszystkim, co dotyczy dzieł sztuki.

Markiz przyjął komplement jako coś oczywistego.

- Sprawa ta bardzo mnie zainteresowała - powiedział. - Natychmiast zamierzam zabrać się do dzieła i dowiedzieć się, od kogo Isaacs dostał obydwie te obrazy. Nie możemy się też przyznawać, że żywimy podejrzenia co do obrazu Lochnera.

- Masz rację! - przytaknął księżę, uśmiechnął się łobuzersko i dodał: - Obydwaj wtedy byliśmy tak tym obrazem zachwyceni, że nie zainteresowaliśmy się jego pochodzeniem.

- A jednak przychodziło mi do głowy, że może został ukradziony... - przyznał markiz.

- Mnie też nieobca była taka myśl - wspomniął księżę.

- Teraz odejdę, jeśli wasza królewska mość pozwoli... - zaczął markiz, lecz nie dokończył, bo przerwał mu księżę.

- Już mnie opuszczasz, Virgo! - zawołał. - Może zostałbyś na kolacji. Moglibyśmy pogawędzić o obrazach i o wielu innych sprawach.

Książę był wyraźnie rozczarowany, lubił przebywać w towarzystwie markiza bardziej niż z innymi przyjaciółmi.

- Żałuję, lecz niestety umówiłem się już wcześniej i jak wasza królewska mość rozumie, byłoby niegrzecznie z mojej strony, gdybym w ostatniej chwili odwołał wizytę.

Książę uśmiechnął się.

- Domyślam się, że spędzisz wieczór z jakąś czarodziejką.
- Pogroził mu palcem: - Uważaj, Virgo! Już i tak twoja reputacja jest bardzo zła, może nawet gorsza od mojej. Nie możemy więc mnożyć naszych przestępstw.

Markiz uśmiechnął się:

- Niezależnie od naszych czynów ludzie i tak będą plotkować, wymyślać nie istniejące fakty. - Wykonał ręką wymowny gest. - Co do mnie, to niezależnie od tego, co ludzie mówią, nie zamierzam rezygnować z tych „przestępstw”!

Książę przechylił głowę i roześmiał się.

- To mnie bardzo pociesza, Virgo. Jestem tego samego zdania. Skończymy razem na szubienicy. Mam tylko nadzieję, że uznamy, iż było warto żyć tak, jak żyjemy.

- Myślę, że tak - odparł markiz. - Choć człowiek często doznaje rozczarowań.

- Mój drogi Virgo - zauważył książę. - Nie bądź cyniczny.

- Nie jestem cyniczny tylko wtedy, gdy chodzi o obrazy i o konie - powiedział markiz.

- To znaczy, że kobiety cię rozczarowują? - zapytał książę i dodał: - Nie trać tylko nadziei. Może pewnego dnia spotkamy „Madonnę wśród lilii” i okaże się równie piękna jak ta, którą przedstawił Lochner.

- Moim zdaniem to wprost niemożliwe - odezwał się markiz. - Lecz cóż szkodzi wierzyć.

Księżę znów się uśmiechnął, a markiz pożegnawszy się zbiegł po schodach na dół. Jadąc do domu ulicą Św. Jakuba zaczął żałować, że nie przyjął zaproszenia księcia i nie został na kolacji w Carlton House. Rozmowa zapewne byłaby interesująca, a jedzenie i trunki doskonałe. Zielone nieco skośne oczy lady Abbott już go tak nie pociągały jak wczoraj. Zaczął teraz rozpamiętywać o doskonałości „Madonny wśród lilii”. Jej rozmarzone nieco senne spojrzenie patrzyło na świat, jakby był on równie uroczy jak ona. Madonna trzymała w ręku pęk lilii, miała jasne włosy, a na nich nie koronę, lecz wianek z kwiecica. Dwa aniołki patrzyły na nią z górnych rogów obrazu. Jej twarz wciąż prześladowała markiza. Oczy miały taki wyraz, jakiego nigdy nie widział ani na obrazie, ani w rzeczywistości.

„Gdybym tak kiedyś mógł naprawdę ją ujrzeć” - pomyślał.

Skrecając z Piccadilly w Berkeley Square przyszło mu do głowy, że pod wpływem obrazu wpadł w jakąś obsesję i że ludzie wyśmialiby go, gdyby im się zwierzył. Otrząsnął się szybko ze swoich myśli. Lady Abbott jest zapewne równie czarująca jak wczoraj i gdyby stworzyła chociaż pozory, że się przed nim broni, wieczór ten uznałby za udany. Marzył o tym, żeby nie poddała się zbyt szybko.

Cyrilla postawiła na podłodze koszyk i otworzyła obdrapane drzwi, następnie zamknęła je za sobą i wzięwszy do ręki koszyk przeszła wąskim korytarzykiem w stronę małej kuchni. Przy piecu stała siwowłosa kobieta.

- Doktor się nie pokazał - powiedziała, gdy zobaczyła wchodzącą Cyrillę.

- A obiecał, że przyjdzie - zmartwiła się dziewczyna. - Pewnie obawia się, że mu nie zapłacimy.

- I chyba się nie myli - odrzekła Hanna - Czy kupiłaś wszystko, o co cię prosiłam?

- Tak, Hanno, i wydałam wszystko co do ostatniego grosza. Nic już nam nie zostało, chyba że pojawi się dzisiaj pan Isaacs z pieniędzmi za obraz.

- Już powinien tu być - wtrąciła Hanna. - Nie ufam temu człowiekowi!

- Ale to jedyny handlarz obrazów, który nie zerwał z nami kontaktów, odkąd papa zachorował. Będziemy musiały, Hanno, znów coś spieniężyć, żeby nie umrzeć z głodu!

- A co my możemy sprzedać, skoro już poszły wszystkie obrazy? - zapytała Hanna ostro.

Cyrilla nic nie odrzekła. Zdjęła kapelusz, a potem pomyślała, że jest bardzo zmęczona, co wiązało się bez wątpienia z niedostatkiem, w jakim ostatnio żyła. Wszystkie pieniądze szły na lekarstwa dla ojca, a one z Hanną żywiły się warzywami i od czasu do czasu jajkami, bo na nic innego nie starczało pieniędzy. Już trzy dni minęły, odkąd zdjęła ze ściany van Dycka skopiowanego przez Fransa Wyntacka, kiedy był jeszcze zdrowy, i zniosła go do Salomona Isaacsza. Musiała własnoręcznie wykończyć obraz, a potem poddać go procesowi starzenia, który wymyślił Frans Wyntack. Gdy zachorowała matka, Frans Wyntack uświadomił sobie, że aby zapewnić jej właściwą opiekę musi jakimś sposobem zdobyć pieniądze. Niestety jego własne obrazy nie przynoszą mu dochodów. Powiedział wówczas z wielką goryczą:

- Jeśli nie chcą kupować moich obrazów, dam im taką nauczkę, że na długo popamiętają.

- Co chcesz przez to powiedzieć, papo? - zapytała Cyrilla.

- Kiedy przed wieloma laty w Kolonii zgłębiałem zawód malarza, nauczyłem się jak wykonywać kopie - wyjaśnił. - Cyrilla spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, a on mówił dalej: - Poznałem człowieka, którego uważano za

szaleńca. Przesiadywał całe dni w galeriach obrazów, widywałem go tam bardzo często, i zainteresowałem się jego pracą.

- Czy on kopiował obrazy wiszące w galerii? - zapytała Cyrilla.

- Tak - powiedział Frans Wyntack - lecz robił to w sposób tak mistrzowski, że czasami brał do ręki obraz i mówił: „A gdybyś tak zobaczył ten obraz oprawiony, czybyś rozpoznał, jest to tylko kopia?”

- Więc te obrazy były istotnie tak dobre? Cyrilla wprost nie wierzyła słowom Fransa

Wyntacka, ponieważ wielokrotnie wyrażał się z pogardą o falsyfikatach i o handlarzach, którzy podrabiali obrazy, żeby je potem sprzedać.

- I co się z nim stało, papo? - zapytała. Przerwał, a jego myśli powędrowały w przeszłość.

- Z tym malarzem? - zapytał. - Od czasu do czasu udawało mu się sprzedać falsyfikat, gdy ktoś potrzebował dobrej kopii, lecz z pewnością zmarł z głodu, jak wielu w tym zawodzie.

- Nie rozumiem ... czemu opowiadasz mi o tym ... teraz? - zapytała Cyrilla.

- Dlatego, że zanim opuściłem Kolonię ten człowiek przekazał mi sekret sporządzania kopii obrazów znakomitych artystów, tak żeby wyglądały identycznie jak oryginały. Nauczył mnie sposobu przygotowania płótna, stosowania odpowiednich farb, w końcu nadawania obrazom takiego szlif, który uniemożliwi sprzedawcy zorientowanie się, że malowidło nie zostało wykonane przed wiekami. - Cyrilla patrzyła na niego ze zdumieniem, kiedy mówił dalej: - To samo zamierzam zrobić teraz, a ponieważ w świecie artystycznym pomiatano mną, postaram się zarobić pieniądze bez poczucia winy i obciążania własnego sumienia.

- Ale papo, przecież to oszustwo! A poza tym fałszerstwa są karane!

- Tylko wtedy, gdy się złapie oszusta - odrzekł Frans Wyntack.

Próbowała odwieść go od tego zamiaru, ale on udał się do lorda George'a Beaumonta, proponując mu, że namaluje tak doskonałą kopię, iż nikt nie będzie w stanie odróżnić jej od oryginału. Cyrilla poznała lorda Beaumonta, znanego mecenasa sztuki, który odwiedził pewnego razu jej ojca. W Anglii nie było ogólnie dostępnych galerii obrazów, jak to miało miejsce za granicą, i lord Beaumont pozwalał malarzom na odwiedzanie jego prywatnej kolekcji, a nawet na kopiowanie znakomitych dzieł znajdujących się w jego posiadaniu. Frans Wyntack robił szkice i notatki dotyczące wybranego obrazu, a potem podrabiał w domu jego styl. Zanosił wówczas obraz do handlarza i u lorda Beaumonta wybierał do skopiowania następny. Cyrilla nie posiadała się ze zdumienia, bo efekt był zadziwiający.

- Ale one są wspaniałe, papo! Doskonale! Ale to nie zmienia faktu, że takie postępowanie jest naganne.

Kiedy tydzień później Frans Wyntack wręczył jej pieniądze na opłacenie rachunków, wzięła je z mieszanymi uczuciami. Czowała się winna, ale jednocześnie ucieszona, że może zrobić zakupy niezbędne dla chorej matki.

- Muszę znaleźć innego marszanda i mam z tym kłopoty - zwierzył się jej Frans Wyntack.

- A co się stało z tym, który zajmował się sprzedażą twoich obrazów? - zapytała Cyrilla.

- Nie mogę zwrócić się do niego, to byłoby zbyt niebezpieczne. Zna mnie. Był tu kilka razy i wie, że nie posiadam żadnej kolekcji.

- Więc czemu kupował od ciebie obrazy?

- On myśli, że je ukradłem - powiedział Frans Wyntack uśmiechając się. - Dlatego nie zadawał mi żadnych pytań.

- Och, papo, jak mogłeś dopuścić do tego, żeby cię uważano za złodzieja?

- Niech sobie o mnie myślą, co chcą, byle mi płacili - odrzekł. - Ale podejrzenie, że obraz jest ukradziony, obniża jego cenę. Dają mi więc mniej, niż mogę przyjąć.

- Ale przynajmniej mogliśmy kupić dla mamy wszystko, czego jej potrzeba, a także opłacić wizytę doktora - odezwała się Cyrilla.

- Czy doktor był tu dzisiaj? - zapytał szybko Frans Wyntack.

Cyrilla skinęła głową.

- I co powiedział?

- Że chora potrzebuje odpoczynku i dobrego wikt. Wypisał mi też receptę na dalsze lekarstwa. Żadne z dotychczasowych nie odniosło skutku.

Frans Wyntack zacisnął usta i spieszenie opuścił pokój. Cyrilla usłyszała jego kroki zmierzające do sypialni matki. Stała przez chwilę, aż usłyszała, że drzwi zamknęły się za wchodzącym.

- Mama nigdy nie powinna się dowiedzieć o poczynaniach papy - powiedziała do siebie. - To by ją dobiło. Byłaby przerażona, że rozmyślnie zajmuje się fałszowaniem obrazów, żeby wprowadzić w błąd nabywców. Postępuje źle, bardzo źle, lecz nie wiem, co innego mógłby zrobić.

Matka z każdym dniem czuła się gorzej. Schudła, była coraz słabsza i tylko wtedy gdy Frans Wyntack przychodził do jej pokoju, oczy chorej ożywiały się na chwilę. Na twarzy pojawiały się wówczas rumieńce i wyglądała równie młodo i pięknie jak córka.

i Nikt nie mógł jej pomóc. Wydawało się, że powoli oddala się od swoich bliskich i pewnego ranka Frans Wyntack

przebudziwszy się stwierdził że nie żyje. Cyrilla śmierć matki przeżyła tak, jakby cały świat się zawalił. Całe jej dotychczasowe życie, wszelka radość skupiały się dokoła matki. Bez niej czuła się jak łódź bez steru zdana na pastwę fal. Frans Wyntack również pogrążył się w smutku. Wciąż przesiadywał w swojej pracowni wpatrując się w płótna, na których utrwalił drogą mu twarz, potem wszystkie zamalował jakby te portrety wydały mu się niedobre.

- Musi panienka koniecznie namówić ojca, żeby znów zaczął malować - powiedziała raz Hanna. - Pieniądze się skończyły. Chyba nie ma panienka zamiaru głodować?

Cyrilla uświadomiła sobie, że Hanna ma rację. Spokojnie, lecz stanowczo powiedziała Fransowi Wyntackowi, żeby wziął pędzel do ręki, gdyż nie mają już niczego na sprzedaż. Wzdragał się przed robieniem falsyfikatów, które ich ratowały, kiedy jej matka była chora, i zajął się malowaniem własnych obrazów, lecz cena za którą udawało mu się je sprzedać pokrywała zaledwie koszty farb i płótna. Większość jego prac stała u handlarza obrazów i nie znajdując nabywcy pokrywała się kurzem.

Cyrilla musiała sprzedać kilka drobiazgów o niewielkiej wartości należących do matki, koronkowy szal, futrzaną mufkę, i kiedy wydała już wszystkie pieniądze pojawiła się znów w pracowni Fransa Wyntacka.

- Może ja znajdę sobie pracę przy czyszczeniu podłóg. Niczego innego nie umiem - oznajmiła.

Spojrzał na nią w taki sposób, jakby dopiero teraz ją zobaczył. Była bardzo podobna do swojej matki z okresu, kiedy spotkał ją po raz pierwszy i uświadomił sobie, że tak pięknej istoty nie widział nawet w najśmielszych snach.

Nieszczęście i nader skromne pożywienie sprawiły, że twarz Cyrilli wydłużyła się, podbródek zaostrzył, a oczy wydawały się ogromne. Przyszła do pracowni ojca wczesnym

rankiem, nie zdążyła jeszcze ułożyć włosów, więc opadały teraz niczym połyskliwa fala na jej ramiona i mieniły się złotem w świetle poranka. Patrzył na Cyrillę w taki sposób, że domyśliła się, o czym tak duma.

- Zacząłem robić kopię obrazu Lochnera, jeszcze za życia twojej matki, lecz nie jestem w stanie go ukończyć. Nie mogę uchwycić ducha obrazu, ale będę próbował.

- O czym ty mówisz, papo?

- Potrzebne ci są przecież pieniądze, wspomniałaś przed chwilą, że chcesz je sama zarobić - powiedział szorstkim tonem. - Owiń się tym jedwabiem i usiądź na podium.

- Chcesz, żebym ci pozowała? - zapytała niepewnie Cyrilla.

Frans Wyntack nic nie odrzekł. Zaczął ustawiać sztalugę, odszukał nie dokończony obraz i posadził Cyrillę w taki sposób, żeby światło padające od okna oświetlało jej włosy. Natychmiast zabrał się do pracy.

Uduchowione Madonny, w których celował Stephan Lochner przywiodły mu na myśl żonę. Zapragnął zrobić jej portret nie tylko dlatego żeby zdobyć pieniądze, po prostu czuł potrzebę namalowania czegoś doskonałego. Namalował już trzy obrazy, zanim zaczął czwarty, do którego teraz pozowała mu Cyrilla.

Trzy poprzednie zostały skopiowane z obrazów wiszących w galerii lorda Beaumonta i sprzedane temu samemu handlarzowi, który sądził, że są ukradzione. Płótna te przyniosły spory dochód i Hanna nie musiała się skarżyć na brak pieniędzy na bieżące wydatki.

Frans Wyntack pracował nad obrazem Lochnera przez kilka miesięcy. Kiedy go skończył ustawił przed nim Cyrillę i powiedział:

- Oceń go! Spójrz na niego oczami swej duszy.

- Jest absolutnie doskonały, papo! Chciałabym w rzeczywistości tak wyglądać jak na tym obrazie.

- Ależ ty tak naprawdę wyglądasz - odrzekł. - Jednak nie o twój wygląd mi chodzi, lecz o obraz.

- Jest wspaniały! Wiesz, że jest świetny! Czemu nie malujesz takich obrazów jak ten zamiast kopiować. Mógłbyś podpisywać je własnym nazwiskiem i wkrótce stałbyś się sławny.

Zapanowało milczenie.

- Chcesz znać prawdę? Ja ją znam i mogę ci odpowiedzieć!

- Powiedz mi.

- Artyści tacy jak Lochner i ci, których obydwójce podziwiamy, mieli w sobie geniusz, dar, który sprawiał, że w ich obrazach było coś nieuchwytnego, czego brakowało dziełom innych twórców.

- Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, papo. To tak jak z muzykami, którzy mogą być niezwykle uzdolnieni, a jednak komponować nie potrafią.

- Otóż to! Kompozytor jest geniuszem. Taki sam dar może posiadać malarz. Jeśli go nie ma, jego obrazom brak życia. Tak jest właśnie w moim przypadku.

- Ależ papo, ty jesteś taki zdolny. Przecież ten obraz jest piękny. Chciałabym go zatrzymać i podziwiać każdego dnia.

Frans Wyntack uśmiechnął się.

- Możesz przecież kochanie przypatrywać się sobie w lustrze - powiedział. - Ten obraz musi nam przynieść mnóstwo pieniędzy.

- W jaki sposób?

- Zaniosę go do innego sprzedawcy, który nazywa się Salomon Isaacs. Słyszałem, że skupuje obrazy dla księcia Walii.

- Ale nie powiesz mu, że to falsyfikat?

- Oczywiście, że nie. Zamierzam mu wyjaśnić, że odziedziczyłem to malowidło, które znajdowało się w posiadaniu naszej rodziny od wielu lat, i że nawet teraz trudno mi się z nim rozstać. - Uśmiechnął się drwiąco, a potem zwrócił się do Cyrilli: - Przygotuj mi moje najlepsze ubranie, to, w którym zdaniem twojej matki wyglądałem jak dżentelmen. Mam nadzieję, że nie zjadły go doszczętnie mole.

- Na pewno jest w dobrym stanie, papo - odrzekła Cyrilla.
- Hanna dogląda wszystkiego.

Wystrojony niczym dżentelmen, choć nieco staromodnie, Frans Wyntack wyszedł z domu z rzekomym obrazem Lochnera pod pachą, a Cyrilla, choć wiedziała, że ojciec postępuje niegodnie, modliła się gorąco, żeby transakcja doszła do skutku.

Hanna stale narzekała z powodu braku pieniędzy na prowadzenie domu. Posiłki, które przygotowywała, były skromne i Cyrilla często odczuwała dotkliwy głód i była coraz słabsza.

Kiedy usłyszała pukanie do drzwi, z trudem podniosła się, żeby otworzyć. Obawiała się, że zobaczy ojca z obrazem w ręku, lecz ten wbiegł do środka z okrzykiem triumfu, pochwycił ją w ramiona i zatoczył nią kółko w taki sam sposób, jak to kiedyś robił, gdy była małą dziewczynką.

- Wygraliśmy! Wygraliśmy! - zawołał.

- Udało ci się sprzedać obraz? - zapytała nie mogąc złapać tchu.

- Sprzedam, jeśli tylko ksiązę Walii zdecyduje się na niego, a marszand jest tego niemal pewny. Potrzebny mu jest właśnie Lochner do kolekcji. Obraz sprawił na kupcu bardzo dobre wrażenie.

- Ale nam są potrzebne pieniądze natychmiast! - wtrąciła Hanna ostrym tonem przez drzwi kuchenne.

- Poczekaj jeszcze trochę, kobieto - rzekł Frans Wyntack - albo kup na kredyt.

- Wie pan, że nie mogę tego zrobić - gromiła Hanna. - Jeśli w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin nie zapłacą panu za obraz, to już koniec z nami, popamięta pan moje słowa!

Wróciła do kuchni zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Cyrilla spojrzała na ojca znacząco, a potem obydwójce zaśmieli się cicho niczym para konspiratorów.

- Wszystko jest w porządku - powiedział. - Isaacs tak bardzo zachwyił się tym Lochnerem, że dał mi kilka funtów zaliczki.

- Och, papo, czemu nie powiedziałeś tego Hannie? - odezwała się Cyrilla. - Całkiem niepotrzebnie zamartwia się.

- Chciałem jej sprawić niespodziankę i zamierzałem sam kupić trochę żywności - powiedział Frans Wyntack - lecz nie mogłem się powstrzymać, żeby ci nie oznajmić o sukcesie.

Cyrilla uśmiechnęła się. Takie nieracjonalne zachowanie było bardzo w jego stylu. Wynikało to zapewne stąd, że zawsze przebywał w świecie nierzeczywistym. Był to jeden z powodów, dla których matka darzyła go takim uczuciem. Kochała go do tego stopnia, że była zdolna do poświęceń, na jakie nie zdobyłaby się żadna inna kobieta na jej miejscu. Cyrilla odsunęła jednak od siebie te rozmyślenia i odezwała się praktycznym tonem:

- Zostaw mi te pieniądze, papo. Ja pójdę po zakupy. Wiem lepiej od ciebie, czego w domu brakuje.

Frans Wyntack był wyraźnie zadowolony z jej propozycji. Kiedy wymknęła się do małego sklepiku na rogu, przeszedł do swojej pracowni i zaczął malować kolejny obraz, wierząc, że tym razem stworzy arcydzieło.

Rozdział 2

W istocie, milordzie, nic więcej nie mam do dodania w tej sprawie - rzekł Salomon Isaacs wykonując ręką zdecydowany gest.

Markiz, wysoki i budzący podziw na tle zaniedbanego wnętrza sklepowego, przypatrywał mu się uważnie.

- Utrzymuje pan - powiedział powoli - że właściciel obrazu van Dycka pragnie pozostać nieznany, co mnie wcale nie dziwi. Jednocześnie zdaje pan sobie z tego sprawę, że nie mogę zarekomendować jego królewskiej wysokości obrazu i namawiać go do kupna w sytuacji, gdy płótno jest niewiadomego pochodzenia. - Przerwał na chwilę, a potem dodał: - Przecież to malowidło może pochodzić z kradzieży lub być falsyfikatem.

Marszand głośno zaprotestował.

- Dbam o moją reputację, milordzie, i mogę pana zapewnić, że po latach dostarczania obrazów prawdziwym koneserom, mam szczególnie wyostrzony węch do falsyfikatów.

Markiz nie przejął się zbytnio jego zapewnieniami. Wiedział, że choć Isaacs cieszy się dobrą opinią w środowisku handlarzy dziełami sztuki, jednak nie należy do grona najwybitniejszych londyńskich marszandów. Zdawał sobie jednak sprawę, że Żyd ma opinię człowieka inteligentnego, a przy tym znakomitego znawcy sztuki.

- Czy miał pan wcześniej jakiś obraz pochodzący z tego samego źródła? - zapytał.

Zapanowała krótka pauza, zanim Isaacs odpowiedział:

- Nie, milordzie, ten jest pierwszy.

Choć starał się, by zabrzmiało to przekonywająco, markiz jednak wiedział, że nie mówi prawdy. Starając się zyskać na czasie rozglądał się po sklepie znajdującym się przy jednej z bocznych ulic przecinających Bond Street. Ściany zawieszono

były obrazami, które nie przyciągały uwagi markiza, i wątpliwe jest, żeby zainteresowały księcia Walii. Ustawione też były pod ścianami jeden obok drugiego. Markiz podszedł do najbliższej sterty.

- Niech no mi pan pokaże te obrazy - powiedział władczy tonem.

Isaacs pospieszył spełnić jego życzenie i zaczął odwracać płótna do światła padającego przez drzwi sklepowe oraz okno o zabrudzonych szybach. Zaczął też paplaninę charakterystyczną dla handlarzy dziełami sztuki.

- Proszę spojrzeć na te wspaniałe kolory, a ta faktura czyż nie piękna, a te muśnięcia pędzla czy nie są zachwycające, a ten błysk w oczach modelki.

Markiz tyle się już nasłuchiwał podobnej gadaniny, że w ogóle na nią nie zwracał uwagi. Zauważył tylko, że większość z tych obrazów to tandeta. Były tam również takie, których tematyka mu nie odpowiadała i których by nie kupił, nawet gdyby były najwspanialej namalowane.

Po przejrzaniu pierwszej sterty przeszli do następnej. Sytuacja powtórzyła się od nowa, Isaacs prezentował obrazy wychwalając je jak tylko potrafił, a markiz gestem ręki odrzucał jeden po drugim. W końcu dobra wola sprzedawcy wyczerpała się, a markiz odezwał się:

- Wróćmy może do pytania, które zadałem na wstępie. Co jeszcze panu wiadomo o tym van Dycku?

- Cóż mogę więcej dodać? - zastanawiał się Isaacs. - Powiedziałem już waszej lordowskiej mości wszystko, co wiem w tej sprawie.

- Proszę sobie dobrze przypomnieć. Jego królewska mość nie zdecyduje się na zakup malowidła, jeśli nie uzyska wystarczających informacji o jego pochodzeniu.

Markiz powiedział to zdecydowanym tonem i skierował się ku wyjściu. Zgodnie z jego oczekiwaniami Isaacs postępował za nim papląc bez ustanku.

- Zrobię, co tylko w mojej mocy, wasza lordowska mość, obiecuję na wszystkie świętości.

- Tylko żeby to nie trwało zbyt długo - uciął markiz i już miał zamiar wyjść, kiedy słowa Isaacs powstrzymały go.

- Jest pewna kwestia, milordzie, lecz wolałbym o niej nie wspominać.

- Jaka?

- Osoba sprzedająca bardzo potrzebuje pieniędzy. Ona tu była i prosiła mnie ...

- Ona? - wypalił markiz.

Żyd zorientował się, że za dużo powiedział. Zapanowało milczenie.

- Użył pan słowa „ona” - zauważył powoli markiz. - Czy to oznacza, że ten obraz jest własnością kobiety?

- Ta dama przyszła tu wczoraj - mówił Salomon Isaacs. - Oznajmiła mi, że jej ojciec, właściciel obrazu, jest ciężko chory i pilnie potrzebuje pieniędzy na doktora i lekarstwa.

Markiz odniósł wrażenie, jakby te słowa były wyciągane na siłę. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że Isaacs czuje się niezręcznie nie tylko dlatego, że nie chce ujawnić źródła pochodzenia obrazu, lecz także z tego prostego powodu, że jest przekonany, że gdyby markiz znał adres damy, jeszcze bardziej byłby podejrzliwy.

Kobieta była biednie ubrana, przyszła pieszo, w dodatku sama. Te fakty upewniły Isaacs, że nie kłamała mówiąc, że bardzo potrzebuje pieniędzy. Jako wytrawnemu kupcowi przemknęła mu myśl, że byłaby skłonna zadowolić się mniejszą kwotą, co przyniosłoby mu większy zysk. Obawiał się, że markiz, którego szanował jako człowieka interesu,

mógłby pomieszać mu szyki, gdyby się dowiedział, skąd obraz pochodzi.

- Pomyślałem sobie, Isaacs - powiedział markiz po chwili - że chętnie spotkałbym się z tą damą i porozmawiał z nią na temat obrazu. Ona z pewnością umiałaby wyjaśnić mi wiele kwestii, o których pan nie ma pojęcia.

- Ależ to niemożliwe, milordzie - gwałtownie przerwał mu Isaacs wzbudzając podejrzenia markiza.

- A to czemu? - zdziwił się markiz, choć spodziewał się, że marszand tak zareaguje.

- Nie znam jej adresu, milordzie.

- Wiec w jaki sposób przekaże jej pan pieniądze?

- Obiecała, że przyjdzie do mnie jutro.

- O której godzinie?

- Tego nie powiedziała. Markiz zastanowił się przez chwilę.

- Czy sądzi pan, że gdyby ją pan zapytał o adres, podała by go panu? - zapytał.

- Wątpię, milordzie. Wydaje mi się, że wymieniła tę samą ulicę, na której mieszka dżentelmen, który przyniósł mi inny obraz ...

- Jaki obraz?

Isaacs był coraz bardziej zbity z tropu. Nieczęsto mu się to zdarzało, lecz markiz górował nad nim, a on za wszelką cenę chciał ubić ten interes. Marszand wiedział, że często za obrazy, które nabywał książę Walii, płacili jego przyjaciele. Pamiętał, że również w przypadku Lochnera został dostarczony Isaacsowi rachunek podpisany przez markiza Fane.

- Niedawno twierdził pan - odezwał się powoli markiz - że obraz van Dycka był pierwszym obrazem z tego źródła.

- Musiałem się omylić - rzekł Salomon Isaacs. - Teraz sobie przypominam, że obraz, który tak bardzo podobał się

waszej lordowskiej mości i który zakupił jego królewska mość, przyniósł mi dżentelmen mieszkający pod tym samym adresem, co ta dama. Jakoś wcześniej nie skojarzyłem sobie tego faktu.

Markiz wiedział dobrze, że wszystko to kłamstwo, lecz nie protestował.

- Jak się nazywał ten dżentelmen?

- Dałem słowo, że tego nie ujawnię, milordzie. Gdybym to uczynił, nie byłoby to fair z mojej strony.

- Więc jaki jest jego adres?

- Mam, milordzie, swoje zasady. Nie chciałbym wystawiać na szwank mojego dobrego imienia. Jak już wspomniałem jego lordowskiej mości, dałem słowo i zamierzam go dotrzymać.

- Pańska opowieść gmatwa się coraz bardziej - odezwał się markiz. - Kiedy pół roku temu sprzedawał pan jego królewskiej mości obraz Lochnera, mówił pan, że on pochodzi z prywatnych zbiorów, a teraz pan twierdzi, że nic o nich nie wie.

- Bo to szczerą prawdą, milordzie.

- Tak się jednak składa, że obraz, na temat którego wyraża się pan tak tajemniczo, jest z tego samego źródła.

- Pomieszało mi się w głowie, a to chyba dlatego, że teraz miałem do czynienia z młodą damą, a poprzednio z dżentelmenem.

- Ta dama wspomniała, że to jej ojciec.

- Tak, milordzie, tak właśnie powiedziała.

- I że jest on chory?

- Tak jest, milordzie.

- Dodała też, że bardzo potrzebuje pieniędzy.

- W istocie milordzie.

- W oczach markiza pojawił się błysk triumfu, choć Isaacs nie mógł tego widzieć. Handlarz rozmyślał przez cały czas, że zrobił z siebie durnia i że z markizem bardzo trudno wygrać.

- Mam dla pana pewną propozycję - odezwał się markiz powoli. - Kupię ten obraz za cenę, jakiej pan sobie życzy, choć zdaję sobie sprawę, że cena jest mocno zawyżona, lecz pod jednym warunkiem: dostanę w zamian od pana adres, na który trzeba przekazać pieniądze. Nie musi mi pan podawać nazwiska właściciela obrazu, jeśli nie chce pan złamać danego słowa.

W tonie głosu markiza brzmiał sarkazm, co bardzo nie podobało się kupcowi. Isaacs zawahał się z odpowiedzią nie tyle przez wzgląd na właściciela obrazu, lecz dlatego, że obawiał się, iż markiz mógłby coś wykryć badając dokładniej całą sprawę. Mężczyzna, który mu zaoferował obraz Lochnera, wyglądał na dżentelmena, choć jego ubiór był staromodny, ponadto mówił z cudzoziemskim akcentem. Dopiero kiedy wypłacił mu należność, Isaacsowi przyszło na myśl, że może warto go zapytać, czy nie ma jeszcze czegoś na sprzedaż. Ambicją każdego handlarza dziełami sztuki było zaspokojenie życzeń księcia Walii. Kiedy więc pojawiła się u niego kobieta i zaoferowała płótno van Dycka Isaacs ucieszył się niezmiernie, choć nie dał tego poznać po sobie. Ponieważ osoba ta wyglądała biednie i niepozornie, nie zwrócił na nią zupełnie uwagi, kiedy nieśmiało weszła do sklepu trzymając pod pachą obraz. Nie spodziewał się żadnej rewelacji, więc zastosował często praktykowaną przez siebie taktykę polegającą na zmuszeniu klienta do oczekiwania, by czuł się jeszcze bardziej onieśmielony i niepewny. Kiedy w końcu niezbyt grzecznie spytał kobietę, czego sobie życzy, zdumiał go jej melodyjny spokojny głos. Jeszcze bardziej się zdumiał, kiedy mu pokazała, co przyniosła.

Nie patrzył jednak na nią zupełnie. Ponieważ dzień był chłodny, miała na sobie długą pelerynę uszytą z drogiego niegdyś materiału, lecz obecnie zniszczoną i niemodną. Kaptur niemal całkowicie zasłaniał jej twarz i zdał sobie sprawę, że nie wiedział właściwie, jak wyglądała. Wówczas jego oczy były zwrócone wyłącznie na obraz. Jeden rzut oka wystarczył, żeby się przekonać, że jest to niewątpliwie van Dyck i to w dodatku bardzo piękny okaz.

Świetnie namalowane fałdy szaty Madonny przypominały mu obrazy, które oglądał dwa lata temu w Monachium podczas męczącej, lecz bardzo owocnej wyprawy. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że van Dyck namalował setki obrazów, w tym portretów i malowideł o tematyce biblijnej. W dowód uznania jego talentu król Karol I zaoferował mu dwieście funtów rocznej pensji, dwa domy, a oprócz tego obdarzył go szlachectwem.

Isaacs był wielkim miłośnikiem malarstwa tego mistrza i zawsze marzył, żeby mieć jakiś jego obraz na sprzedaż. Było to skrytą ambicją marszanda i dlatego nie posiadał się ze szczęścia wpatrując się w obraz, który mu przyniosła nieznajoma.

- Skąd pani to ma? - zapytał.

- Należy do mojego ojca, który jakiś czas temu sprzedał już panu jeden obraz.

- Jaki?

- Namalowany przez ... Stephana Lochnera.

Kobieta zawahała się, zanim wymówiła nazwisko malarza, a Isaacs usłyszawszy to omal nie krzyknął z zachwytu. Obraz Lochnera, który tak bardzo spodobał się księciu Walii, a markiz Fane bez chwili wahania zapłacił żadaną sumę. To był naprawdę wspaniały interes. Teraz z tego samego źródła otrzymywał jeszcze jedno arcydzieło, był więc przekonany, że księcia Walii zachwyci owo niezwykle dzieło van Dycka.

Uważał jednak, że nie należy ujawniać przed klientem swego podniecenia.

- Mam nadzieję, że ma pani upoważnienie ojca na sprzedaż tego obrazu - zauważył obojętnym tonem.

- Oczywiście.

Jej głos zabrzmiał niepewnie, a Isaacs nie zdawał sobie z tego sprawy, że kobieta czuje się upokorzona posądzeniem, że obraz ten może być skradziony.

- Jeśli tak, mogę przyjąć go od pani i poszukać kupca.

- Czy nie mógłby pan zapłacić od razu? Isaacs potrząsnął głową.

- Postępuję tak nader rzadko. Czemu mnie pani o to prosi?

Pomyślał przez chwilę, że nie zdaje sobie sprawy z wartości obrazu, lecz po chwili wymieniła z wahaniem sumę, wprawdzie dość wysoką, jednak dużo niższą od rzeczywistej wartości obrazu.

- Wątpię czy udałoby mi się zgromadzić taką kwotę.

- Niech się pan postara. To dla mnie bardzo ważne... ojcu pilnie są potrzebne pieniądze.

„Czyżby długi karciane?” - pomyślał w duchu Isaacs i teraz jak mu się zdawało, zrozumiał, czemu poprzedni obraz musiał zostać sprzedany. Ach, ci dobrze urodzeni, tracą pieniądze przy karcianych stolikach, a potem ich rodziny nie mają co do garnka włożyć.

- Zobaczę, co da się zrobić - powiedział - ale to trochę potrwa.

Cyrilla wstrzymała oddech, a potem odezwała się nie mogąc ukryć upokorzenia:

- Czy byłoby możliwe ... gdyby mi pan wypłacił ... niewielką zaliczkę? Muszę kupić lekarstwa dla ojca, a także wezwać doktora.

W pierwszej chwili Isaacs chciał odmówić, lecz stojąca przed nim drobna figurka kobiety budziła współczucie. Może to jej melodyjny głos tak go ujął, bo sięgnął ręką do kieszeni.

- Sam się sobie dziwię, że łamię dla pani moje zasady - powiedział. - Oto pięć funtów. Odliczę je łącznie z moją prowizją od sumy, którą uzyskam od klienta.

Położył na osłoniętej rękawiczką dłoni Cyrilli pięć złotych suwerenów.

- Bardzo panu dziękuję - odezwała się. - To bardzo uprzejmie z pana strony. Przyjdę za dwa dni ...powiedzmy we środę ...może do tego czasu uda się panu sprzedać obraz.

- Czy pani uważa mnie za cudotwórcę, sądząc, że w tak krótkim czasie znajdę poważnego nabywcę? Może pani jednak przyjść, jeśli taka jest pani wola. Proszę tylko podać mi swój adres i jeśli ma pani jeszcze jakiś obraz na sprzedaż, proszę go przynieść lub może ja pofatyguję się do pani.

Mówiąc to nie starał się nawet ukryć podniecenia. Najpierw Lochner, a teraz ten! Isaacs był przekonany, że van Dyck urzeknie księcia Walii.

Tak bardzo pogrążył się w rozmyślaniach, że zupełnie zapomniał o obecności markiza. W końcu ogromnie skonsternowany spostrzegł, że jego gość opuszcza sklep.

- Milordzie! Milordzie! - zawołał.

- Widzę, że nie zainteresowała pana moja propozycja - rzekł markiz. - W zupełności to rozumiem. Powiem w pałacu księcia, żeby zwrócono panu obraz.

- Ależ nie, milordzie! Proszę mnie wysłuchać! - błagał Isaacs.

Markiz zatrzymał się na chodniku. Przy krawężniku czekał na niego powóz zaprzężony w dwa urodziwe konie.

- Wiec zgadza się pan? - zapytał.

- Adres, o który jego lordowska mość pytał, brzmi: ulica Królowej Anny 17, dzielnica Islington.

Markiz wchodząc do powozu odezwał się:

- Jutro rano otrzyma pan pieniądze za van Dycka.

Stajenny podał markizowi lejce, potem sam wspiął się na tylny stopień, a kiedy powóz ruszył, Isaacs z westchnieniem wrócił do sklepu. Miał wrażenie, że popełnił błąd, lecz usprawiedliwiał się w duchu, że nie miał innego wyjścia.

Na ulicy Królowej Anny w ubogiej dzielnicy Islington raczej nie można się było spodziewać znalezienia takich arcydzieł jak malowidła Lochnera czy van Dycka. Isaacs coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że coś podejrzanego kryje się w całej tej sprawie i że powinien był zbadać rzecz, zanim zaoferował obrazy księciu Walii. Odnosił wrażenie, że dżentelmenowi, który chciał mu sprzedać Lochnera, można było zaufać, natomiast co do kobiety miał poważne wątpliwości. Żadna dbająca o swoją reputację dama nie przyszłaby sama na Bond Street, ponadto nie dźwigałaby obrazu.

Z największym trudem udało mu się zdobyć jej adres, i kiedy klientka opuściła sklep, Isaacs pomyślał, że być może obraz został skradziony gdzieś na prowincji i że policja została już powiadomiona o kradzieży. Bardziej doświadczony marszand z pewnością najpierw przeprowadziłby rozeznanie, lecz Isaacs spieszył się nie tylko ze względu na zapłatę, chodziło mu też o to, by wkraść się w łaski księcia Walii. Już pierwszy obraz, który mu sprzedał, był powodem do chwały, lecz nie wystarczał, żeby mu zapewnić stały wstęp do Carlton House.

Gdy powóz markiza zniknął, Isaacs powiedział do siebie:

- Gdybym dał jego lordowskiej mości fałszywy adres, wróciłby do mnie z pretensją.

Przyszło mu jednak do głowy, że markiza trudno oszukać, nie uwierzył mu, gdy twierdził, że nie wie, kim jest właściciel obrazu. Fakt, że go przechytrzone, wprowadził go w złość.

- Jego lordowska mość jest zbyt sprytny i w tym cała rzecz - wyszeptał do siebie, nie wiedząc, że ludzie z wyższych sfer wypowiadali ten sam sąd o markizie.

Markiz istotnie mógł być z siebie zadowolony. Udało mu się zdobyć informację, na której mu zależało, i czuł, że musi natychmiast rozpocząć działania, by odszukać tajemniczą damę. Kierując się zatłoczonymi ulicami w stronę Islington, zachowywał się jak pies na tropie i poganiał konie do szybszego biegu.

Ta część Londynu w połowie ubiegłego wieku była elegancką dzielnicą, lecz obecnie znajdowała się w stanie upadku. Domy były obdrapane, balkony obwieszane suszącą się bielizną, witraże nad wejściowymi drzwiami potłuczone i poutykane szmatami. Markizowi nie zajęło wiele czasu odnalezienie przy ulicy Królowej Anny numeru 17. Dom stał na końcu ulicy i posiadał dziwną przybudówkę, zapewne pracownię malarza.

Markiz oddał stajennemu lejce i skierował się ku drzwiom z łuszczącą się farbą, odnalazł mosiężną kołatkę, która ku jego zdumieniu była wypolerowana do połysku. Nikt nie odpowiadał na jego pukanie, więc pomyślał, że odbył całą drogę na darmo i że nie uda mu się tak łatwo rozwiązać całej zagadki. Gdy znowu zapukał, drzwi się otworzyły i usłyszał głos:

- Pewnie zapomniałaś kluczy, Hanno?

Zapanowała kompletna cisza. Cyrilla patrzyła na markiza ze zdumieniem, gdyż spodziewała się ujrzeć służącą. On też był tak zaskoczony, że nie mógł wykrztusić słowa. Na jasne włosy Cyrilli padało światło pochodzące od otwartych drzwi wiodących do kuchni tworząc nad jej czołem rodzaj aureoli. Na tle ciemnych ścian korytarzyka wyglądała jak istota nieziemska, jak prawdziwa Madonna Lochnera. Nie wiadomo ile czasu minęło, kilka sekund czy kilka godzin, a oni stali

wpatrzeni w siebie. Cyrilla pierwsza odzyskała panowanie nad sobą.

- Przykro mi - powiedziała. - Myślałam, że to służąca, która ... wybrała się po zakupy. Musiał pan chyba pomylić dom.

Jej głos był właśnie taki, jak sobie wyobrażał - był to głos Madonny.

- Nie, nie pomyliłem - powiedział nieskładnie. - Przyjechałem, żeby odnaleźć panią.

- Żeby odnaleźć ... mnie?

Zdumienie Cyrilli było do przewidzenia. Markiz zerwał z głowy kapelusz.

- Czy mogę wejść? - zapytał. - Chciałbym z panią porozmawiać.

Dziewczyna zawahała się, obejrzała, jakby szukając wsparcia.

- Nie sprawię pani kłopotu - rzekł markiz z uśmiechem. - Opuść ten dom, gdy tylko pani sobie tego zażyczy. Trudno byłoby jednak rozmawiać w drzwiach.

Cyrilla dostrzegła, że dwóch przechodniów spojrzęło z uwagą na markiza, zastanawiając się pewnie, czego ten elegancki mężczyzna tu szuka.

- Ma pan rację - zgodziła się Cyrilla drżącym głosem. - Proszę ... niech pan wejdzie. Niestety ojciec z powodu choroby ... nie będzie mógł widzieć się z panem.

Mówiąc to zastanawiała się, co może być powodem tej niespodziewanej wizyty. Przyszło jej do głowy, że może szczęśliwym zbiegiem okoliczności zobaczył gdzieś obrazy ojca i pragnie je zakupić. Zawsze o tym marzyła, lecz teraz wydało jej się to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Ojciec malował przecież od lat, a jego obrazy wystawiano w wielu sklepach z dziełami sztuki, nie tak znanymi jak ten, do którego zaniósł van Dycka, lecz w mniejszych, których wiele

znajdowało się w Islington. Cyrilla wiedziała, że często odwiedzano takie sklepy w poszukiwaniu dzieł artystów, którzy, jak liczone, w przyszłości staną się sławni, a wówczas obrazy zakupione za niewielkie sumy będą miały ogromną wartość.

Markiz wszedł do niewielkiego przedsionka. Jego szerokie ramiona i elegancki strój sprawiły, że pomieszczenie zdawało się jeszcze mniejsze, niż było w rzeczywistości. Cyrilla wskazała drzwi po lewej stronie i wkrótce znaleźli się w saloniku. Był to nieduży pokój, lecz umeblowany z dobrym smakiem, choć właściwie nie było w nim niczego cennego. Zręcznie upięte zasłony były uszyte z taniego materiału, lecz harmonizowały z kolorem ścian, poduszkami na sofie i obiciami krzesel. Niemal instynktownie markiz rozejrzał się za obrazami i tam gdzie wisiały, ujrzał mniej wypłowiałe ślady na tapecie.

Kiedy spojrzał na dziewczynę wpatrującą się w niego szeroko otwartymi oczami, odniósł wrażenie, że chyba śni. Ujrzał dokładnie to, co wydawało mu się niemożliwe: postać „Madonny wśród lilii”. Dziewczyna była tak piękna, że wprost nie chciało mu się wierzyć, że to nie urojenie, lecz rzeczywistość. Rysy jej twarzy były bardzo delikatne, oczy ogromne i pełne wyrazu. Nie mylił się sądząc, że uosabiała średniowieczne ballady miłosne śpiewane przy wtórze szpinetu.

„Ona jest nadzwyczaj piękna!” - pomyślał.

Uświadomił sobie nagle, że wpatruje się w nią zbyt natarczywie, co sprawiło, że słaby rumieniec wypłynął na jej policzki.

- Czy zechce pan usiąść? - zapytała wskazując fotel.

Markiz usiadł, a ona zajęła miejsce naprzeciw. Miała na sobie skromniutką muślinową sukienkę bez jakichkolwiek ozdób, lecz właśnie ta prostota uwypuklała doskonałość jej

kształtów. Ona sama mogłaby być Świętą Dziewicą, taka była młoda i niewinna. Tak musiała wyglądać Najświętsza Panienka, gdy anioł przyszedł do niej, żeby jej zwiastować Bożą nowinę.

Uświadomiwszy sobie, że Cyrilla czeka na wyjaśnienia, odezwał się:

- Jestem markiz Fane. Przybyłem tu, ponieważ dowiedziałem się, że jest pani właścicielką obrazu namalowanego rzekomo przez van Dycka.

Spodziewał się ujrzeć zdumienie na jej twarzy, lecz nie przypuszczał, że cała spłonie rumieńcem. W jej oczach dostrzegł wyraz udreki i poczuł się winny, jakby skrzywdził dziecko lub małe bezbronne stworzenie. Jej wargi poruszyły się, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Odezwał się więc tonem niezwykle delikatnym.

- Dowiedziałem się pani adresu od handlarza obrazów Isaacs'a, który wziął od pani obraz z zamiarem sprzedania go księciu Walii.

Cyrilla zacisnęła dłonie, a markiz dostrzegł, jakie są piękne. Takie właśnie ręce lubił malować van Dyck.

- Nie zdziwi panią zapewne, kiedy powiem, że natychmiast spostrzegłem, iż postać namalowana przez van Dycka ma taką samą twarz jak Madonna na obrazie Lochnera, który Isaacs sprzedał księciu Walii przed kilkoma miesiącami.

Teraz Cyrilla spuściła oczy w wielkiej konsternacji, a jej ciemne rzęsy rysowały się na tle pobladłych nagle policzków.

- Bardzo mi przykro - wyszeptała po chwili drżącym głosem.

- Gdyby nie to, że pani pozowała do obydwu tych obrazów - rzekł markiz - dałbym się oszukać, że obraz namalował van Dyck, podobnie jak jego królewska mość uwierzył, że nabył dzieło Lochnera.

- To było ... bardzo niemądre z mojej strony - wyszeptała Cyrilla ledwo dosłyszalnym głosem.

- Z pani strony? - zdziwił się markiz. - Czyżby to pani namalowała te obrazy?

- Nie, oczywiście, że nie ja! - odparła szybko. - To papa ... lecz proszę nie robić mu krzywdy... on jest bardzo chory... wydaje mi się, że... nie pożyje długo.

Jej głos się załamał, a markiz dostrzegł, jak bardzo była przybita.

- Mogę panią zapewnić, że nie przyszedłem tu po to, żeby kogokolwiek krzywdzić - odezwał się spokojnie. - Chciałem tylko zrozumieć, jak to możliwe, że dwóch artystów, których dzieli sto pięćdziesiąt lat, namalowało tę samą piękną twarz, angażując, jak się zdaje, tę samą modelkę. - Dostrzegł, że jego komplement wprowadził Cyrillę w zakłopotanie, lecz mówił dalej: - Niech mi to pani wyjaśni. Nie jest to czcza ciekawość. Poznanie prawdy wprost mnie fascynuje.

Cyrilla podniosła ku niemu wzrok.

- Bardzo to pana zaszokuje, co powiem - zaczęła. - Od początku wiedziałam, że to źle się skończy, lecz nie mieliśmy innego wyjścia... Papa mógł tylko to robić, kiedy mama była śmiertelnie chora. Nie mieliśmy pieniędzy nawet na skromne jedzenie. - Markiz nic nie odrzekł, a ona po chwili dodała błagalnym tonem: - Proszę zrozumieć ... naszą sytuację.

Rozpacz w jej głosie była tak wymowna, że markiz nie mógł powstrzymać wzruszenia.

- Chciałbym zrozumieć wszystko - powiedział. - Zacznijmy więc od początku. Jak się pani nazywa?

- Cyrilla ... Wyntack.

- Czy pani ojciec jest artystą malarzem?

- Tak. Jego nazwisko brzmi Frans Wyntack.

- Chyba nie jest Anglikiem?

- Jest w połowie Austriakiem, a w połowie Flamandczykiem.

- To by tłumaczyło jego talent. Nie chcę tu prawieć czczych komplementów, panno Wyntack, lecz pani ojciec maluje tak wspaniale, że trudno mi wprost uwierzyć, że brakuje mu pieniędzy.

- Ja też często tak myślałam - rzekła Cyrilla - lecz niestety nikt nie chce kupować jego obrazów. - Markiz zrobił zdumioną minę, a ona wyjaśniła: - Myślę, że on wyprzedza swoje czasy. On wierzy, że światło padające na malowane przedmioty można uchwycić, natomiast ludzie kupujący obrazy chcą, żeby wszystko było przedstawione w konwencjonalny sposób.

Markiz zbyt dobrze znał się na malarstwie, żeby nie zrozumieć, co miała na myśli.

- Chciałbym obejrzeć obrazy ojca pani - rzekł. - Proszę mi też wyjaśnić, czemu namalował te falsyfikaty i jak to się stało, że są tak doskonałe.

- On powążył się na taki czyn tylko dlatego, że mama ... była chora. Nauczył się tej sztuki przed wieloma laty, kiedy studiował jeszcze w Kolonii. Kiedy brakowało nam pieniędzy, kopiował jeden lub dwa obrazy należące do kolekcji lorda Beaumonta zmieniając je w taki sposób, żeby się wydawało, że są to inne obrazy tego samego mistrza. I tak odmienione sprzedawał. - I dużo na tym zarobił?

- Nie, niedużo ... sprzedał je tylko tutaj ... w Islington.

- I co się stało, że zmienił taktykę?

- Mama czuła się coraz gorzej - wyjaśniła Cyrilla cichym głosem. - Lekarz powiedział, że tylko specjalna kuracja może jej pomóc. Papa był zrozpaczony i wówczas ... zaczął malować Madonnę wśród lilii. - Przerwała na chwilę, a ponieważ markiz milczał mówiła dalej: - Traktował ten obraz jak kolejny malowany wyłącznie dla chleba. Miał w pamięci

tło i postać Madonny, jak to było poprzednio w przypadku innych obrazów Lochnera, gdzie wykorzystywał umiejętności nabyte w Kolonii, lecz brakowało mu modelu.

- I pani posłużyła mu za modelkę - odezwał się markiz.

Ujrzał smutek w jej oczach i domyślił się, że cała jej istota buntowała się przeciwko udziałowi w takim oszustwie.

- To jeden z piękniejszych obrazów, jaki kiedykolwiek widziałem - powiedział markiz.

Oczy Cyrilli zabłysnęły.

- Cieszę się bardzo, że pan tak myśli. Ponieważ obraz był taki piękny, często zastanawiałam się, czy nie stanowi to usprawiedliwienia, że papa oszukuje i podaje się za Stephana Lochnera.

- Nie przypuszczam, żeby sam Lochner lub ktokolwiek inny mógł zrobić to lepiej.

- Mama zmarła zanim obraz został ukończony, i przez długi czas papa nie mógł nawet go tknąć. Wrócił do swoich własnych prac.

- Przypominam, że bardzo chciałbym je obejrzeć - wtrącił markiz.

- Dobrze - rzekła Cyrilla wstając z miejsca.

- Jeśli pani wybiera się do pracowni ojca, czy mógłbym pani towarzyszyć? - zapytał markiz.

Prośba ta bardzo ją zdziwiła.

- Jak pan sobie życzy, milordzie - odrzekła.

Markiz otworzył drzwi, a ona skierowała się schodami na górę. Pracownia znajdowała się piętro wyżej. W porównaniu z innymi pomieszczeniami była bardzo obszerna i miała okno wychodzące na północ, co stanowi marzenie każdego artysty. Było tam wiele rozmaitych rekwizytów, podium dla modelu, zamalowane płótna i takie, na których były tylko szkice. Na jednej ze sztalug znajdował się obraz, który Cyrilla umieściła tam po wyniesieniu na sprzedaż rzekomego van Dycka, nad

którym Frans Wyntack pracował, zanim zachorował. Nowe płótno na sztaludze miało zachęcić ojca do malowania, gdy tylko wyzdrowieje. Obraz był niemal ukończony i brakowało mu tylko kilku pociągnięć pędzla.

Markiz spojrział na obraz i zrozumiał, czemu nie nadawał się on na sprzedaż. Nie było w nim nic, co przyciągnęłoby uwagę zwykłego odbiorcy dzieł sztuki. Niemniej obraz posiadał wartość, ponieważ Wyntack usiłował wydobyć z malowanego przedmiotu to, co dla innych było nieciekawe. Tematem który sobie wybrał, była martwa natura, kilka pomarańcz leżących na stole obok wazonu z kwiatami. Wszystko to zostało namalowane barwnymi plamami, które zdawały się nie mieć nic wspólnego z przedmiotem. Dopiero kiedy obserwator przyjrzał się dokładniej, wrażenie potęgowało się. Markiz wpatrywał się w obraz czując, że Cyrilla baczenie mu się przygląda w nadziei, że pojmie intencje jej ojca. Domyślał się także, że dziewczyna obawiała się, iż mógłby wyśmiać usiłowania artysty.

- Odnoszę wrażenie - powiedział po chwili - że ojciec pani bardzo wyprzedził swoje czasy, o czym już pani wspomniała. Ludzie nie są w stanie pojąć, co zamierza im przedstawić, lecz powiem pani szczerze, że jest to bardzo nowatorskie i wybitne dzieło.

Jej twarz rozbłysła radością.

- Bardzo bym chciała, żeby papa mógł usłyszeć pańską opinię - rzekła. - Nikt dotychczas nie powiedział mu czegoś takiego. To by mu osłodziło wszystkie rozczarowania, wszystkie lata niepowodzeń.

- Nigdy nie ośmieliłbym się nazwać ojca pani życiowym nieudacznikiem - odrzekł markiz. - Zdaje sobie pani jednak z tego sprawę, że wielcy artyści, muzycy, malarze, pisarze musieli zabiegać o popularność, a najczęściej ich prace zostały w pełni docenione dopiero po ich śmierci.

Wypowiadając to zdanie czuł, że zachowuje się wprost nietaktownie. Był przekonany, że Cyrilla wie, że taki właśnie los będzie udziałem jej ojca.

- Czasami myślę sobie - powiedziała - że papa byłby bardzo szczęśliwy, gdyby go doceniono, jak na to zasługuje. Gdy tylko wyzdrowieje, powiem mu, jak pochlebnie się pan o nim wyraził.

- A więc jest z nim tak źle, że nie będę mógł z nim porozmawiać? - zapytał markiz.

- Już trzeci dzień jest nieprzytomny. Lekarz, który był tu dziś rano, powiedział, że jego stan jest beznadziejny. - Mówiła to cichym głosem i markiz czuł, że stara się panować nad swoimi uczuciami.

- Chciałbym kupić ten obraz - powiedział. - Jeśli oczywiście nie ma pani nic przeciwko temu.

Spodziewał się, że sprawi jej tym przyjemność.

- Nie, to niemożliwe - odparła szybko. Uniósł brwi ze zdumienia, a ona wyjaśniła z rumieńcem na twarzy: - Wie pan przecież, że papa dopuścił się oszustwa sprzedając van Dycka. Tytułem odszkodowania mogę panu ofiarować ten obraz.

- Proszę zrozumieć, że w zaistniałych okolicznościach nie mogę przyjąć tego podarku - wyjaśnił markiz. - Będę z panią zupełnie szczery, panno Wyntack. Pani są potrzebne pieniądze, a ja chcę zapłacić za ten obraz, ponieważ doceniam jego wartość wbrew opinii innych ludzi. - Spojrzała na niego, a on dodał z uśmiechem: - Duma jest dobra, lecz nie w pani sytuacji.

- To nie z powodu dumy odmawiam panu sprzedaży obrazu - rzekła Cyrilla. - Moja matka byłaby zgorszona, gdyby wiedziała, że ojciec fałszuje obrazy nawet w niezwykle trudnej sytuacji finansowej, w jakiej się znaleźliśmy.

- Mam nadzieję, że matka usprawiedliwiłaby pani postępowanie - rzekł markiz. - Ponieważ muszę rozmówić się

z księciem Walii w sprawie obrazu van Dycka, a pani potrzebne są natychmiast pieniądze, proszę przyjąć ode mnie piętnaście funtów za ten obraz, który zabiorę natychmiast do domu.

- To zbyt dużo! - zawołała Cyrilla. Markiz pragnął zaoferować wyższą kwotę, lecz miał wrażenie, że dziewczyna jej nie zaakceptuje.

- Nie przyjmuję do wiadomości żadnych sprzeciwów - rzekł. - Niech pani nigdy więcej tego nie robi. Proszę mi pozwolić działać tak, jak uznam to za stosowne. - Mówiąc to wyjął z wewnętrznej kieszeni kilka banknotów i położył je na stole, potem zdjął obraz ze sztalugi. - Zamierzam go pokazać jego królewskiej mości - powiedział. - Ciekaw jestem, jaka będzie jego reakcja. Może podobna do mojej.

- Może jego królewska mość będzie zły, kiedy się przekona, że Lochner jest falsyfikatem - wyszeptała Cyrilla. - Może nawet zechce oskarżyć papę o fałszerstwo?

- Jestem przekonany, że tego nie zrobi - pocieszał ją markiz. - Proszę się nie martwić, panno Wyntack. Jeśli pani pozwoli, przyjdę tu jutro, żeby się dowiedzieć o zdrowie ojca. Mam nadzieję, że będzie się czuł lepiej.

- Chciałabym w to wierzyć - westchnęła Cyrilla. - Dziękuję panu za jego dobroć.

Spojrzała na niego, a on poczuł nieprzewyciężoną chęć, żeby ją wziąć w ramiona i przekonać się, że jest istotą z krwi i kości. Wciąż dokoła niej czuł wzniosłą atmosferę tak doskonale oddaną na rzekomym obrazie Lochnera, że nie mógł się oprzeć wrażeniu, że dziewczyna jest wytworem jego wyobraźni.

- Co pani robi przez całe dni? - zapytał. Spojrzała na niego zdumiona.

- Hanna, nasza służąca, i ja nie możemy równocześnie wychodzić z domu - powiedziała po chwili. - Któraś z nas zawsze musi doglądać papy.

- A kiedy ojciec pani był zdrowy?

- Zawsze musiałam dbać o niego - powiedziała ze śmiechem. - On sam nigdy nie opuszczałby pracowni, gdybym go nie wyciągała na spacer lub na zakupy, czego bardzo nie lubił nawet wówczas, kiedy mieliśmy pieniądze.

- To dziwne życie dla osoby tak urodziwej jak pani.

Na te słowa oczy jej pociemniały, a na policzkach pojawił się rumieniec.

- Przekażę te pieniądze Hannie - powiedziała szybko. - Bardzo się ucieszy, że udało mi się sprzedać obraz i że będziemy mogli kupić dla papy najniezbędniejsze rzeczy.

Mówiąc to Cyrilla ruszyła ku drzwiom, markiz zaś udając, że tego nie widzi podszedł do wielkiego okna znajdującego się w pracowni i wyjrzał na zewnątrz. Było tam wiele małych podwórek, ale nie im się przyglądał. Tak wiele rzeczy chciał jeszcze powiedzieć i nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Czuł, że Cyrilla chce się go pozbyć, lecz on pragnął zostać. Owładnęło nim niejasne wrażenie, że jeśli teraz odejdzie, na zawsze ją straci. Nie wiedział właściwie, o co mu właściwie chodzi, jego umysł był zmacony do tego stopnia, że nie mógł myśleć jasno.

Przed nim znajdowała się „Madonna wśród lilii”. To była jej twarz, której przypatrywał się setki razy, od czasu kiedy książę Walii zakupił obraz, która zjawiała mu się w snach. Myślał, że należy do nieżyjącej już kobiety, a oto ona żyje i ma na imię Cyrilla. Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna mu się przygląda i zażenowana zastanawia się, czemu nie wychodzi.

A więc ona istnieje naprawdę! Markiz miał wrażenie, że zna Cyrillę od dawna, od początku świata. Zawsze nosił ją w

sercu, była jego ideałem. Przyszło mu do głowy, że jest sentymentalny. Gdyby jej głośno wyznał, co w tej chwili czuje, uznałaby go zapewne za szaleńca i miałyby chyba rację. Z wielkim wysiłkiem odwrócił się od okna.

- Muszę już panią pożegnać, panno Wyntack - powiedział. - Lecz, jak już pani wspomniałem, wrócę tu jutro. Czy życzyłaby pani sobie, żebym coś pani przyniósł?

Było to pytanie, które mu niespodziewanie przyszło do głowy. Zazwyczaj kobiety, które dobrze go znały odpowiadały: „Daj mi siebie”. Natomiast te, z którymi znajomość dopiero się zaczynała, mówiły, że każdy upominek sprawi im radość.

Odpowiedź Cyrilli była zupełnie inna.

- Był pan dla mnie taki uprzejmy ... taki hojny - rzekła. - Wprost nie mogę znaleźć słów, żeby panu wyrazić wdzięczność. Może kiedy stan zdrowia papy poprawi się, namaluje dla pana coś w upominku.

- Bardzo bym tego pragnął - powiedział markiz - zwłaszcza gdyby to był pani portret.

Zamarła z wrażenia, a on odgadł, co zaprzęta jej myśli.

- Ma pani może swój portret? - zapytał.

- Właściwie to nie - odrzekła - lecz coś panu pokażę.

Przeszła w kąt pracowni i wyjęła z szuflady dwa niewielkie płótna. Trzymając je w ręku podeszła do markiza, a jemu się zdawało, że nie idzie, lecz stąpa po chmurach. Wziął od niej pierwszy obraz i ujrzał na nim twarz Cyrilli na błękitnym tle. Jej włosy otaczała świetlista aureola charakterystyczna dla malarstwa Fransa Wyntacka. Zauważył też, że był to zaledwie szkic nie dokończonego portretu, lecz widać było na nim wielkie zamyślane oczy i prosty zgrabny nosek.

- Wspaniały portret! - zawołał markiz. - I bardzo do pani podobny!

Uśmiechnęła się leciutko, a potem wręczyła mu następny obrazek, szkic do obrazu Lochnera „Madonna wśród lilii”. Wyraz twarzy był ten sam i to samo światło padające z tyłu postaci jak na skończonym obrazie. To właśnie światło wydobyte zręcznymi pociągnięciami pędzla stwarzało niezmierną prawie scenerię. Markiz przyglądał się kolejno obu obrazkom.

- Jest w nich zadziwiające podobieństwo - powiedział.

- Na pierwszym to nie jestem ja! - oznajmiła z uśmiechem.

- Nie pani?

- To mama. Jak pani widzi, jestem bardzo do niej podobna.

- Wprost trudno uwierzyć, że na świecie mogą być dwie tak piękne istoty! - powiedział.

- Mama była stokroć piękniejsza ode mnie - rzekła. - Papa namalował ten obrazek, gdy tylko ją poznał.

- Wydaje mi się, że nie zechce się pani z nim rozstać - zauważył markiz. - Jeśli pragnie pani istotnie mi coś ofiarować, to ośmielę się poprosić o portrecik pani.

- Cieszę się bardzo, że się panu spodobał - rzekła. - Jeśli go pan weźmie, nie będę miała wrażeń, że jestem pańskim dłużnikiem.

Markiz powstrzymał słowa cisnące mu się na wargi i tylko zauważył:

- Moglibyśmy tak sobie dziękować bez końca. Pozwoli pani, że o wdzięczności porozmawiamy jutro.

- Chciałabym pana o coś zapytać - odezwała się Cyrilla cichutko.

- Co takiego?

- Co pan zamierza zrobić z tymi obrazami? Tak bardzo się boję o papę. Trudno mi będzie czekać w niepewności aż do jutra.

- Przyrzekam pani na mój honor, że nic złego się nie wydarzy - zapewnił ją markiz. - Nic takiego, co mogłoby pani sprawić przykrość. Jeśli to panią może uspokoić, to pani powiem, że kupiłem tego rzekomego van Dycka za cenę, jakiej ode mnie zażądano, i nie wspomniałem sprzedawcy nawet słowem, że podejrzewam, iż to falsyfikat.

- Rzeczywiście pan tak postąpił? - zapytała Cyrilla.

- Zawsze mówię prawdę - powiedział. - Proszę się więc nie niepokoić. Niech pani poleci służącej, żeby kupiła wszystko, co pani ojcu potrzeba. - I widząc, że Cyrilla odetchnęła z ulgą, dodał: - Jeśli stan jego zdrowia nie poprawi się do jutra, przyślę mojego lekarza. Nie mogę pozwolić, żeby się pani zamartwiała.

Znów złapał się na tym, że powiedział zbyt wiele. Nie czekając na odpowiedź Cyrilli otworzył drzwi pracowni i zaczął schodzić po schodach. Kiedy już znalazł się przy drzwiach frontowych odwrócił się i ujął dziewczynę za rękę.

- Niech mi pani wierzy, panno Wyntack - powiedział spokojnie - jestem bardzo rad, że mogłem panią poznać.

Złożyła przed nim ukłon, lecz nie patrzyła na niego, wyraźnie nie chcąc, żeby ją pocałował w rękę. Kiedy już był na zewnątrz i kiedy włożył na głowę cylinder, jeszcze raz się pożegnał, a potem wsiadł do powozu. Dopiero teraz zorientował się, że Cyrilla nie stoi w drzwiach, jak się tego spodziewał. Zobaczył tylko w oknie starą służącą patrzącą na niego z nie ukrywaną wrogością.

Rozdział 3

Panienko!

Głos był nagły i Cyrilla natychmiast uniosła głowę z poduszki.

- Co się stało, Hanno?

Domyśliła się odpowiedzi, zanim jeszcze służąca zdążyła się odezwać. Błyskawicznie wstała z łóżka, owinęła się szalem leżącym na krześle i wybiegła z pokoju. Pokój Fransa Wyntacka znajdował się tuż obok jej sypialni i kiedy tam weszła przekonała się, że ojciec nie żyje. Hanna złożyła mu ręce na piersi i kiedy tak leżał na wznak Cyrilla pomyślała, że przypomina jednego z rycerzy, których postaci rzeźbiono na cmentarnych nagrobkach.

Bez błysku w oczach i uśmiechu goszczącego na twarzy Frans Wyntack ze swoimi pięknymi rysami wyglądał niczym klasyczna rzeźba, lecz był zupełnie odmienny od tego, którego znała. Zawsze był pełen radości życia, co zapewne odziedziczył po swoich austriackich przodkach, a teraz w wyrazie jego twarzy była powaga, która razem z talentem malarskim świadczyła o jego flamandzkim pochodzeniu.

Przypatrując się regularnym rysom zrozumiała, czemu matka tak bardzo była w nim zakochana. Poza tym w zachowaniu Fransa Wyntacka było zawsze coś romantycznego, coś, co odróżniało go od innych mężczyzn. Żył we własnym wyimaginowanym świecie, na wszystko patrzył oczami artysty i problemy zwykłych ludzi nie miały do niego dostępu. Dlatego obydwie z matką musiały stawiać czoło niedostatkowi, a nawet nędzy.

„Wygląda jak księżę z bajki” - pomyślała Cyrilla. Dopiero to stwierdzenie uświadomiło jej w całej pełni, że go utraciła na zawsze. Uklękła przy nim i zaczęła się modlić. Przyszło jej na myśl, że Frans Wyntack połączył się z matką i że im obojgu już niczego teraz nie trzeba. Cyrilla wierzyła, że ich miłość

będzie trwała wiecznie, tak jak oni wierzyli, że się spotkają i będą znów razem. Lecz oto ona została nagle sama.

Obawiała się tego momentu już wówczas, kiedy matka umarła, a Frans Wyntack popadł w depresję. Cyrilla przyglądając mu się zdawała sobie sprawę, że przy życiu trzyma go tylko malowanie. Rozumiała jego rozpacz, kiedy wchodził do sypialni, którą zajmował razem z matką i w której teraz musiał żyć bez niej.

Wieczorami, kiedy już się położyła, słyszała jego kroki dochodzące z pracowni i wiedziała, że boi się zejść na dół, gdzie nikt na niego nie czeka.

„On jest teraz pewnie szczęśliwy” - pomyślała.

Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo będzie jej go brakować, i rozplakała się.

Markiz zszedł na parter w swoim domu przy Berkeley Square i udał się do jadalni. Czekał już tam na niego kamerdyner w towarzystwie dwóch lokajów. Na śniadanie miał w zwyczaju pić kawę, następnie zjadał spory posiłek, który stawiano przed nim na srebrnej tacy.

Wielkie pijatyki, w których za przykładem księcia Walii uczestniczyli młodzi mężczyźni z kręgów dworskich, kończyły się zazwyczaj nad ranem, tak że nikt nie był w stanie wstać wcześniej jak około południa. Tymczasem markiz był już na nogach o siódmej, i to niezależnie od tego, co robił poprzedniego wieczora. Kiedy ulice w dzielnicy Mayfair były jeszcze puste, wybierał się na przejażdżkę po parku, gdzie ćwiczył swoje konie.

Lubił ten poranny czas, ponieważ mógł wówczas w samotności oddawać się rozmyślaniom. Obecnie uświadomił sobie, że jego myśli wciąż pochłonięte są tą samą sprawą, która nie opuszczała go przez większą część nocy. Kiedy rozstał się z Cyrillą, udał się do Carlton House, a gdy przyszło mu oczekiwać na księcia Walii, który akurat był zajęty

sprawami związanymi z restauracją pałacu w Brighton, wszedł do saloniku muzycznego.

Poprzednio robił to często, lecz obecnie jego wzrok był bardziej bystry i uważny, kiedy w napięciu przyglądał się wiszącej tam Madonnie wśród lilii. Pomyślał, że żaden artysta nie potrafiłby lepiej oddać piękna i delikatności twarzy Cyrilli. Uczucia, jakich doświadczał na widok obrazu, jeszcze się nasiliły i pojawiło się w nich coś zupełnie dlań nowego.

- Jak to możliwe, że istota tak doskonała, tak urocza naprawdę istnieje? - zapytywał sam siebie.

Nagle uświadomił sobie inne jeszcze pytanie. Jakie to szczęście, że los pozwolił mu odnaleźć prawdziwą „Madonnę wśród lilii”, niewinną i czystą jak postać przedstawiona na obrazie. Natychmiast podjął decyzję, że zatrzyma Cyrillę dla siebie. Wracając z dzielnicy Islington postanowił, że powie księciu Walii o wszystkim, co udało mu się dowiedzieć. Obecnie doszedł do przekonania, że gdyby to uczynił, księżę zapalałby chęcią poznania Cyrilli.

Markiz był więcej jak pewien takiego obrotu sprawy, a należało tego unikać za wszelką cenę.

Żadna z kobiet, które znał, nie była tak piękna jak Madonna Lochnera. Teraz już wiedział, że ta piękność istnieje naprawdę, że mieszka w skromnym domku na ubogim przedmieściu i że nikt poza nim nie wie nawet o jej istnieniu.

„I taki stan rzeczy musi pozostać” - pomyślał.

Odwrócił wzrok od obrazu, bo księżę wszedł do komnaty.

- Witaj, Virgo! - zawołał. - Cieszę się, że cię widzę! Jakie przynosisz wiadomości?

- Nic szczególnie sensacyjnego, wasza wysokość - odrzekł markiz. - Widziałem się z Isaacsem, lecz on zachowuje się tajemniczo. Nie sposób wydobyć od niego żadnych informacji.

- Spodziewałem się tego - rzekł książę nie kryjąc rozczarowania.

- Ażeby go zadowolić - mówił dalej markiz - zapłaciłem za tego van Dycka.

- Zapłaciłeś? To bardzo ładnie z twojej strony, Virgo, i jestem ci niezmiernie wdzięczny.

- Zastanawiam się, czy wasza królewska mość wypożyczy mi ten obraz albo może Lochnera, żebym mógł kontynuować moje poszukiwania - rzekł markiz. - Zamierzam pokazać go kilku osobom, a nie chciałbym mieszać waszej królewskiej mości do całej tej sprawy.

- Tak, oczywiście, masz zupełną rację! - zgodził się książę. - Weź, które chcesz płótno, lecz pamiętaj, że chcę je mieć z powrotem.

Markiza tak bardzo ucieszyła zgoda księcia, że nie mógł zapanować nad sobą i rzucił w stronę obrazu Lochnera wymowne spojrzenie.

- Wolałbym - rzekł książę - żebyś wziął van Dycka, ponieważ nie został jeszcze zawieszony.

Markiz był wielce rozczarowany, ale nie dał tego poznać po sobie.

- Może być van Dyck - rzekł markiz. - Mam nadzieję, że wkrótce go zwrócę.

- Ale najpierw wyświetlisz zagadkę obu malowideł - dodał książę.

- Ma się rozumieć - zgodził się markiz.

- Czy zjesz ze mną kolację?

Książę zadał to pytanie nie mając wielkiej nadziei, że jego zaproszenie zostanie przyjęte, lecz ku jego zdumieniu markiz odrzekł:

- Z przyjemnością, wasza wysokość. Książę przyjrzał mu się badawczo.

- Nie jesteś nigdzie umówiony. Intuicja podpowiada mi, choć oczywiście mogę się mylić, że wczorajszego wieczora nie odniosłeś sukcesu.

Markiz roześmiał się.

- Wasza królewska mość jest bardzo domyślny.

Księżę wziął przyjaciela pod ramię.

- Obydwu nam zdarza się przegrywać - rzekł - lub jak to nazywasz, przeżywać rozczarowania.

- To prawda - potwierdził markiz.

Nie zamierzał rozwodzić się na ten temat, choć wiedział, że księcia bardzo to interesuje, jednakże przestrzegał niezmiennie zasady, żeby nie rozmawiać o kobietach, którymi był zajęty, i nie zamierzał jej łamać. Księżę miał zresztą rację, gdyż wczorajszy wieczór był rzeczywiście nieudany. Markiz spodziewał się, że lady Abbott będzie równie zabawna i prowokująca jak jej przezroczysta suknia na przyjęciu w Devonshire House. Niestety wszystko odbyło się zupełnie zwyczajnie i markiz poczuł się znudzony i rozczarowany w niedługi czas po tym, jak pojawił się w domu lady Abbott. Służba już czekała na niego w holu i prowadzony na pierwsze piętro już wiedział, że zastanie ukwiecony buduar, przyćmione światła i gospodynię przyodzianą w zwiewny negliz.

- Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe, milordzie - rzekła - ale jestem nieco znużona i dlatego przyjmuję pana tutaj.

Jej wygląd i spojrzenie skośnych oczu spod czarnych rzęs, przeczyły słowom i markiz pomyślał ze złością, że przyszło mu kolejny już raz odgrywać rolę w dobrze mu znanej sztuce. Nawet kolacja przy oświetlonym świecami stole, przy której asystowali poruszający się jak cienie lokaje, smakowała tak samo. Kiedy zostali sami i kiedy zapanowało pomiędzy nimi napięte milczenie, markiz poczuł nieprzepatą chęć, żeby podziękować lady Abbott za gościnę i wyjść. Nie zrobił tego

tylko przez wzgląd na fakt, że wysłuchiwanie protestów, a może nawet łez byłoby dla niego jeszcze przykrzejsze do zniesienia. Odegrał więc swoją rolę do końca i kiedy wracał do domu wyrzucał sobie, że w swej naiwności spodziewał się innego przyjęcia.

- Chyba mam jakąś skłonność do falsyfikatów - powiedział do siebie wracając powozem na Berkeley Square.

Znów jego myśli zwróciły się ku Cyrilli i już teraz wiedział, że to z jej powodu wieczór spędzony w towarzystwie lady Abbott wydał mu się banalny i nudny. Położył się do łóżka wciąż rozmyślając o drobnej twarzyczce z wielkimi wymownymi oczami, w których dostrzegł niewinność i uduchowanie, jakich nie udało mu się zauważyć u żadnej innej kobiety. Pragnął, żeby czas biegi jak najszybciej, bo chciał znów znaleźć się na Islington u Cyrilli. Nie mógł jednak przyjść do niej o wpół do ósmej, więc tak jak każdego ranka, widząc, że jego koń, dorodny ogier, już na niego czeka przed frontowymi drzwiami, wskoczył na siodło i popędził do parku.

Gdy już się tam znalazł świeżość powietrza i poranna mgiełka ponad drzewami przypomniały mu Cyrillę. Była młodziutka niczym ten poranek i świeża jak te złociste żonkile rosnące u stóp drzew.

Wróciwszy do domu na Berkeley Square markiz przebrał się i uporawszy jak najszybciej z korespondencją i problemami przedstawionymi przez sekretarza, natychmiast udał się do Islington. Po drodze tak bardzo był zaprzątnięty swoimi myślami, że nie zauważał ukłonów znajomych i rzewnych spojrzeń rzuconych przez kobiety, którym trudno było wyobrazić sobie atrakcyjniejszego mężczyznę, a jednocześnie bardziej niebezpiecznego.

Markiz dotarł na ulicę Królowej Anny w rekordowym tempie i przed numerem 17 gwałtownie zatrzymał powóz.

Przez jakiś czas nikt nie odpowiadał na jego pukanie i już się zastanawiał, czy tak ja wczoraj Cyrilla jest sama w domu, gdyż służąca wybrała się na zakupy. W końcu usłyszał dźwięk odsuwanej zasuwki i drzwi uchyliły się nieco. Stała w nich służąca, która poprzednim razem gdy odjeżdżał patrzyła na niego z niechęcią. Przypominała ochmistrzynię z arystokratycznego domu takiego jak Fane House, gdzie całe gospodarstwo kręciło się jak w zegarku, natomiast zupełnie nie pasowała do tego skromnego domku.

- Dzień dobry! - powiedział markiz, ponieważ kobieta nie odzywała się. - Czy mógłbym się widzieć z panną Cyrillą Wyntack.

- Panienci Cyrilli nie ma w domu!

Powiedziała to szorstkim tonem i właśnie chciała zamknąć drzwi, lecz markiz jej w tym przeszkodził.

- Jeżeli wyszła, to poczekam.

- Panienska nie przyjmuje wizyt - rzekła tonem sugerującym, że powinien wiedzieć, co oznacza sformułowanie „nie ma w domu”.

- Mam nadzieję, że zechce mnie widzieć - nastawał markiz.

- To wykluczone, milordzie!

- Ale ja bardzo nalegam!

Otworzył szerzej drzwi i służąca cofnęła się z tym samym wrogim wyrazem twarzy. Markiz zdawał sobie sprawę, że zadziałał tu jego autorytet. Po chwili poddała się.

- Jeśli jego lordowska mość zaczeka w saloniku - rzekła w końcu - pójdę powiedzieć paniencie, że pan przyszedł.

Markiz położył kapelusz na krześle i kiedy służąca otworzyła przed nim drzwi, wszedł do saloniku. Był bardzo małeńki i teraz dopiero dostrzegł, że dywan na podłodze jest bardzo zniszczony, a pokrycia mebli przetarte. Uświadomił

sobie, że nie jest to odpowiednie miejsce dla osoby tak pięknej i czarującej.

„To tak jakby drogocenny kamień oprawić w tombak zamiast złota” - pomyślał.

Wyobraził sobie otoczenie godne urody Cyrilli. Był świadom, że Lochner odkrył już to czterysta lat temu. Usłyszał odgłos kroków i wkrótce Cyrilla weszła do środka. Jeden rzut oka wystarczył, żeby markiz domyślił się, co się stało. Jej twarz była zapłakana. Markiz pomyślał, że tylko ona nawet płacząc wygląda pięknie. Jej oczy były pełne łez, była bardzo blada i przypominała lilię pokrytą kroplami deszczu. Patrzyli na siebie przez chwilę i zupełnie nieoczekiwanie dla nich obojga nagle Cyrilla znalazła się w jego ramionach, a on poczuł, że całe jej ciało drży.

- Domyślam się, co się wydarzyło - rzekł markiz poważnym tonem.

- Papa ... nie żyje. Zmarł ... we śnie - powiedziała łamiącym się głosem.

- To dla pani bolesne przeżycie - rzekł miękko. - Musi pani być dzielna.

- Próbuję - odrzekła Cyrilla - lecz wydaje mi się, jakby cały świat się zawalił.

- Każdy czuje to samo, gdy traci kogoś drogiego - pocieszał ją.

Nie odpowiedziała, a on czuł, że stara się powstrzymać płacz, i mocniej przytulił ją do siebie.

- Czy zorganizowała już pani pogrzeb?

- Jeszcze nie, ale Hanna powiedziała, że ... sprowadzi grabarzy, lecz może ja powinnam to zrobić.

- Nie może pani sama tego robić - rzekł stanowczo markiz. - Proszę wszystko zostawić mnie. Ojciec pani zostanie pochowany w sposób, na jaki zasłużył. Nie musi pani kłopotać się o nic. I tak jest już pani dość nieszczęśliwa.

Cyrilla westchnęła głęboko i markizowi wydało się, że poczuła ulgę.

- Jest pan dla mnie bardzo ... dobry. To niemądre z mojej strony, że ... czuję się taka bezradna.

Markiz uświadomił sobie, że jest jeszcze bardzo dziecinna, jednocześnie czuł, że delikatne ciało, które trzymał w objęciach, jest ciałem kobiety.

- Proszę, niech pani usiądzie - rzekł - a ja pójdę porozmawiać z pani służącą i powiem jej, że załatwię wszelkie formalności związane z pogrzebem.

- Nie możemy pana ... obarczać takimi rzeczami.

Uniosła głowę i spojrzała na niego, a on pomyślał, że łązy sprawiają, iż jest jeszcze piękniejsza niż przed chwilą.

- Pani mnie niczym nie obarcza - odpowiedział - tylko pozwala, żebym zajął się pani sprawami.

Milczała przez chwilę, a potem rzekła:

- Jest pan taki dobry - odsunęła się od niego i usiadła na sofie.

Każda inna kobieta wykonałaby ten manewr rozmyślnie, zachęcając, żeby usiadł obok, lecz myśli Cyrilli wciąż były przy zmarłym. Po chwili usiadł przy niej w pewnej odległości i nie starał się jej dotykać.

- Czy jest tu jakiś kościół w pobliżu - zapytał.

- Jest kościół pod wezwaniem Marii Panny, do którego chodziliśmy z Hanną - odrzekła.

- Zapytam proboszcza, czy mógłby odprawić nabożeństwo w intencji ojca pani i czy mógłby go pochować na przykościelnym cmentarzu.

- O tym właśnie myślałam - rzekła - lecz czy mógłby go pan poprosić, żeby ojca pochowano obok mamy?

- Pani matka też tam spoczywa?

- Tak.

- A zatem nie powinno być żadnych trudności. Proszę zostawić wszystko mnie.

- Jak ja mam panu dziękować? Czułam się taka opuszczona, a teraz ... mam pana.

- Tak, ma pani mnie - potwierdził z mocą - i nie jest pani wcale opuszczona ani samotna. Proszę tylko pozwolić mi działać.

Zanim opuścił dom, porozmawiał w kuchni z Hanną. Choć zachowywała się wobec niego bardzo nieufnie, jej wrogość zmaląła, kiedy się dowiedziała, że chce się zająć pogrzebem.

- Czemu jego lordowska mość chce fatygować się osobiście? - zapytała.

- Z tego prostego powodu, że jestem miłośnikiem sztuki, a moim zdaniem pan Wyntack był niezwykle utalentowanym artystą - odrzekł.

- Szkoda, że za jego życia nikt nie był tego samego zdania - zauważyła oschle Hanna.

- Pan Wyntack nie malował obrazów, które mogłyby przynieść mu popularność wśród klientów z tej dzielnicy.

Markiz usłyszał chrząknięcie, lecz był przekonany, że służąca podziela jego zdanie. Położył na kuchennym stole pieniądze.

- Proszę kupić dla panienki Cyrilli wszystko, czego jej potrzeba. - Widząc wahanie Hanny dodał szybko: - Obydwie ponadto potrzebujecie solidnego posiłku, a jak już wspomniałem, cenilem bardzo pana Wyntacka jako artystę.

Hanna zdawała sobie sprawę, że to tylko wybieg, aby pomóc Cyrilli, lecz postanowiła nie sprzeciwiać się.

- Dziękuję panu, milordzie - powiedziała i złożyła przed nim ukłon.

Markiz opuścił dom i pojechał w stronę plebanii. Zastał proboszcza w domu i wyjawiał mu powód swojej wizyty.

- Nigdy nie widziałem pana Wyntacka - rzekł duchowny - lecz jego córka przychodziła do kościoła w każdą niedzielę w towarzystwie opiekunki, a przed dwoma laty pochowaliśmy tutaj jej matkę.

- Czy mógłbym obejrzeć grób? - zapytał markiz.

- Oczywiście.

Proboszcz zaprowadził markiza na cmentarz.

- Nagrobek jest bardzo skromny - zauważył proboszcz. - Myślę, że nie stać ich było na nic lepszego.

Markiz nic nie odpowiedział, bo właśnie czytał napis na nagrobku:

Loraine

ukochana przez Fransa Wyntacka i Cyrillę.

1761 - 1800

Napis był jakiś dziwny i markiz pomyślał, że Frans Wyntack był cudzoziemcem. Zdumiało go tylko, że matka Cyrilli miała zaledwie trzydzieści dziewięć lat, kiedy zmarła.

„I była taka piękna - pomyślał przypomniawszy sobie portret, jaki mu pokazała Cyrilla. - Równie piękna jak jej córka”.

Żałował, że nie może ich razem zobaczyć. Niestety Loraine nie było już wśród żywych, natomiast Cyrilla była tuż obok i markiz pomyślał, że kiedy już ją raz odnalazł, więcej się z nią nie rozstanie. Uzgodnił z proboszczem, że pogrzeb odbędzie się w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Zdawał sobie sprawę, że nie ma nic bardziej przygnębiającego jak przebywanie w jednym domu z nieboszczykiem. Ponieważ obiecał dobrą zapłatę, przedsiębiorca pogrzebowy, do którego wstąpił, był skłonny zrobić wszystko, czego sobie życzył.

Markiz miał dość taktu, a zarazem dbał o reputację Cyrilli, toteż nie pojawił się na pogrzebie. Wprawdzie było mało prawdopodobne, żeby ktokolwiek zwrócił uwagę na śmierć

mało znanego artysty mieszkającego w dzielnicy Islington, ale nigdy nic nie wiadomo. Zamówił karawan oraz powóz dla Cyrilli i Hanny, przysłał ogromną ilość drogich kwiatów, lecz sam do końca uroczystości trzymał się na uboczu. Frans Wyntack miał bardzo wystawny pochówek. Jego grób pokryły wieńce i wiązanki. Wracając z uroczystości pogrzebowych Cyrilla zwróciła się do Hanny:

- Słuchając modlitw nie chciało mi się wprost wierzyć, że chowamy papę. Pocięczałam się, że połączył się z mamą i jest szczęśliwy. - Hanna nic nie odpowiedziała, tylko wytarła łzy. - Przypominam sobie, że mama - mówiła dalej Cyrilla - zawsze wiedziała, kiedy papa wraca do domu, zanim jeszcze zdążył otworzyć drzwi. Zawsze czekała na niego w holu i podbiegała ku niemu wołając: „Och, Frans, jak bardzo mi ciebie brakowało! Czy wszystko w porządku? - Głos Cyrilli załamał się i dodała jakby do siebie: - Może mama ma do nas pretensję, że nie dbaliśmy o niego jak trzeba.

- Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, panienko - rzekła Hanna.

- Byłaś wspaniała, Hanno - odezwała się Cyrilla - lecz gdyby się nie przeziębili, nie nabawiłby się kaszlu, który go tak ostatnio męczył. Nie dopilnowaliśmy, żeby zabierał okrycie, kiedy szedł pertraktować w sprawie sprzedaży obrazów.

- Ale on nie chciał nikogo słuchać! - powiedziała Hanna.

- Prawda, liczył się tylko z mamą - dodała Cyrilla.

- Nie musi panienka robić sobie wyrzutów - pocieszała ją służąca. - Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Nie było dla niego ratunku. Całe noce ostatnio przewracał się na łóżku i rozmawiał z twoją matką jakby wierzył, że leży obok niego.

- A może ona tam z nim była? - wyszeptała Cyrilla.

Wreszcie dotarły do domu. Dom wydał się Cyrilli pusty i cichy. Nie miała niczego do roboty, odkąd zabrakło ojca. Weszła do pracowni, żeby obejrzeć obrazy pozostawione

przez Fransa Wyntacka. Były jeszcze nie dokończone i próbowała sobie wyobrazić, jakby je uzupełnił tymi swoimi plamkami światła.

- Jednak markiz dobrze go zrozumiał - powiedziała do siebie.

W tej samej niemal chwili usłyszała jego głos w sionce, a potem szybkie kroki na schodach. Serce w niej zadrżało, a kiedy wszedł do pomieszczenia, spojrzała nań z radością. Był dla niej ostoją bezpieczeństwa, w jego obecności nie czuła się już samotna i zagubiona.

- Słyszałem, że wszystko odbyło się zgodnie z planem - rzekł.

- Nabożeństwo było bardzo piękne ... a kwiaty cudowne! Dzięki, dzięki za wszystko! - wyszeptała Cyrilla.

- Miałem nadzieję, że sprawiły pani przyjemność.

- To były przecież kwiaty dla papy - odrzekła tonem wyrzutu.

- Jeśli wierzyć nauce Kościoła - rzekł markiz - to zmarły teraz przebywa pośród kwiatów na tamtym świecie, a kwiaty przynoszone na pogrzeb są moim zdaniem potrzebne tym, co zostają.

- Nieważne dla kogo były, ale były piękne. Markiz rozejrzał się po pracowni.

- Czy jest tu jakiś obraz, który chciałaby mi pani pokazać? - zapytał.

- Kupił pan niedawno obraz papy i chyba jeden z lepszych - rzekła Cyrilla. - Nie wydaje mi się, żeby pozostałe były warte choćby kilka szylingów.

- Chciałbym, żebyśmy porozmawiali szczerze - powiedział markiz. - Pragnę panią zapytać, jak zamierza pani dalej żyć?

Z wyrazu jej twarzy pojał, że ten problem bardzo ją niepokoi. Zadawała sobie to pytanie od pierwszej chwili,

kiedy uświadomiła sobie, że została sama. Zapanowało milczenie i markiz przypatrując się jej w świetle dochodzącym od okna dostrzegł, że jej połyskliwe włosy stwarzają wrażenie, jakby dokoła nich tworzyła się aureola.

- Jest pani taka piękna! - powiedział. - Zdaje sobie pani chyba z tego sprawę, że nie jest bezpiecznie, żeby mieszkała pani sama bez opieki mężczyzny.

- Mam przecież Hannę.

- Nie może pani spędzić reszty życia w towarzystwie służącej - odezwał się markiz. - Jest to osoba rozsądna, lecz rozmowa z nią nie jest zbyt interesująca.

Uśmiechnął się wypowiedziawszy tę kąśliwą uwagę i po chwili Cyrilla też się uśmiechnęła.

- Hanna bardzo się o mnie troszczy. Zawsze mi podpowiada, czego nie powinnam robić, lecz istotnie ... nie znajdujemy wspólnych tematów do rozmowy.

- Takie jest też moje zdanie. Widziałem już w swoim życiu wiele oddanych służących. Są one bardzo cenne, lecz ich towarzystwo nie może wystarczyć osobom takim jak pani.

- Gdzie więc mam szukać towarzystwa do rozmowy, kiedy papa nie żyje? - zapytała.

- O tym właśnie chciałbym z panią porozmawiać - powiedział markiz, a ponieważ patrzyła na niego pytająco, dodał: - Nie chciałbym pani przestraszyć, bo może się pani wydawać, że znamy się tak krótko, ale to nieprawda. Myślałem o pani od czasu, gdy ujrzałem obraz Madonny pośród lilii.

W oczach Cyrilli dostrzegł zdumienie i jeszcze coś, co go ośmieliło, żeby się do niej zbliżyć i wziąć ją w ramiona. Nie broniła się i markiz czuł, że ona również chce być blisko niego. Ponieważ była tak odmienna od wszystkich kobiet, które znał, i ponieważ jej uroda i sposób bycia onieśmiały go, zachowywał się wobec niej bardzo delikatnie.

Trzymał ją chwilę w objęciach, a potem uniósł ręką jej podbródek i zwrócił jej twarz ku sobie. Patrzył na nią przez jakiś czas, a następnie dotknął ustami jej warg. Wydawało mu się, że śni, czuł ich miękkość, drżenie ciała - wszystko to miało niewyobrażalny czar.

Cyrille pocałunek markiza wprowadził w zachwyt, przeniósł w inny, nieznany świat. Nigdy jeszcze nie spotkała takiego jak on mężczyzny. Początkowo, gdy tylko go poznała nie rozumiała uczuć, jakie w niej wzbudził. Dziwiło ją, że kiedy go nie ma myśli tylko o nim. Gdy był przy niej nie odczuwała strachu i miała poczucie bezpieczeństwa. Teraz kiedy ją pocałował uświadomiła sobie, że spełniły się jej gorące modlitwy. Zdawało jej się, jakby boże błogosławieństwo było w tym pocałunku. Czuła wzruszenie, jakie czasem odczuwała podczas modłów. Miała wrażenie jakby nagle znalazła się w niebie. Ramiona markiza obejmowały ją mocno, lecz jego usta były delikatne i czułe i Cyrilla oddawała mu się bez reszty. „Więc to jest miłość - myślała - miłość doskonała ... taka, jakiej zaznała mama, a ja obawiałam się, że... nigdy jej nie spotkam". Lecz to się jednak stało, a markiz był tym, którego pokochała. To on przesłonił jej cały świat.

- Moja ukochana - powiedział unosząc głowę - należysz tylko do mnie! Szukałem cię przez całe życie i teraz, kiedy cię odnalazłem, nie pozwolę ci odejść.

- Kocham cię - wyszeptała Cyrilla.

- Ja też cię kocham - zapewnił ją zmienionym głosem.

Tym razem mówił prawdę. To dlatego żadnej kobiecie nie zrobił tego wyznania, bo wiedział, że byłoby to kłamstwem. W tym momencie jednak wiedział na pewno, że to miłość. Uderzyło go odkrycie, że to właśnie mający opinię cynika, tak naprawdę był idealistą szukającym ideału i w sporcie, w interesach, a przede wszystkim w miłości. I w końcu udało mu

się znaleźć idealną miłość. Jakby czytając w jego myślach, Cyrilla powiedziała:

- Jak to możliwe, że przepełniają nas tak wspaniałe uczucia? Nigdy nie przypuszczałam... nie marzyłam nawet, że coś takiego może się zdarzyć.

- Ja też czuję podobnie - powiedział. - Dotychczas patrząc na twój portret wiszący w saloniku muzycznym w Carlton House myślałem z rozpaczą, że umarłaś kilka wieków temu. Ale ty jesteś naprawdę! Stoisz obok mnie. Czy może być coś wspanialszego?!

Cyrilla westchnęła cichutko.

- Gdyby papa nie namalował tego falsyfikatu - rzekła - wówczas nie pojawiłbyś się, żeby mnie zobaczyć.

- To los nas połączył - powiedział markiz z przekonaniem. - Powinniśmy być mu za to wdzięczni. Nie możemy dopuścić, żeby nas rozdzielono.

- Ja też marzę o tym, by być z tobą - wyszeptała Cyrilla, przerwała, a potem dodała: - Szkoda, że papa nie dożył chwili, kiedy czuję się taka szczęśliwa. Choć może to nieładnie z mojej strony, że nie smucę się, gdy on nie żyje.

- Nie miej wyrzutów z tego powodu - rzekł markiz. - Ja też jestem niewyobrażalnie szczęśliwy. - Usiedli na sofie w kącie pracowni i markiz objął Cyrillę ramionami. - Tak mało o mnie wiesz - powiedział. - Muszę ci wyjawić, że mam bardzo złą opinię, jeśli chodzi o kontakty z kobietami. Ale to z tego powodu, że wciąż szukałem kogoś takiego jak ty, kobiety po prostu zawsze mnie rozczarowywały.

- To nie ma zupełnie znaczenia - odrzekła Cyrilla. - Mama mówiła, że kiedy człowiek zakochuje się, cały świat się zmienia. Nie liczy się to, co było, tylko przyszłość.

- Twoja mama miała rację - rzekł markiz. - Zapomnijmy więc o przeszłości, a pomyślmy o życiu, które jest przed nami.

- Los mi cię zesłał, kiedy tak bardzo cię potrzebowałam - odrzekła Cyrilla. - Kiedy mama umarła, pomyślałam sobie, że już nigdy nie będzie tak jak dawniej i że już zawsze będę nieszczęśliwa. Wiedziałam, że jestem potrzebna papie, i dla niego się starałam nie tracić pogody ducha. Ale teraz ...

- Co teraz? - zapytał markiz.

- Teraz kiedy sądziłam, że zostanę sama z Hanną ... opuszczona i smutna ... pojawiłeś się ty! Jestem Bogu niezmiernie wdzięczna, że mi cię zesłał!

- Ja także mu jestem wdzięczny - uśmiechnął się markiz. - A teraz kochanie, zróbmy plany na przyszłość, bo nie chcę, żebyś pozostała tutaj w tym małym domku. - Spojrzał na nią, a potem dodał: - Ten dom nie jest odpowiednim dla ciebie miejscem, pragnąłbym ofiarować ci coś bardziej stosownego.

- A jakie znaczenie może mieć otoczenie? - zapytała Cyrilla. - Uważam, że gdziekolwiek byś się znalazł, byłbyś sobą, osobą pełną siły i energii.

- Pochlebiasz mi - odrzekł markiz. - Moja siła jest niczym w porównaniu z twoją urodą. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jaka jesteś piękna?

- Zawsze porównywałam się z mamą - rzekła poważnie. - Ona była taka piękna, że ja wobec niej prezentuję się bardzo skromnie...

- Nie musisz tak myśleć o sobie - przerwał jej markiz

- ...lecz bardzo bym chciała, żebyś ... mnie podziwiał - dokończyła.

- To słabe słowo na określenie moich uczuć - powiedział.

- Pragnąłbym obsypać cię brylantami, które podkreśliłyby twoją urodę.

- Jeśli ci na tym zależy, zgadzam się.

- Dałbym ci słońce i gwiazdy, gdyby to tylko było możliwe - rzekł. - Jestem człowiekiem bardzo bogatym,

będziesz miała wszystko, o czym zamarzysz, bylebyś mnie tylko kochała.

- Nigdy nie przestanę cię kochać - zapewniła - o ile rzeczywiście będziemy należeli do siebie i ty będziesz mnie kochał.

- Będę cię kochał bardziej, niż zdołam wyrazić słowami - odrzekł markiz.

Objął ją mocniej i pocałował namiętnie, a ona zawstydziała się, odwróciła twarz i przytuliła do jego piersi.

- Nie chciałem cię przestraszyć - powiedział - lecz jesteś przecież kobietą. - Znów ją przytulił, a potem dodał: - Dziś jeszcze cię stąd nie zabiorę, lecz jutro znajdę piękny dom z ogrodem, gdzie latem będziesz mogła siedzieć pod drzewami wśród kwiatów. Będziemy tam sami i nikt nie będzie miał wstępu do naszego tajemnego świata.

- Gdzie jest ten dom? - zapytała. - Czy należy do ciebie?

- Nie - odrzekł markiz. - Mój dom znajduje się przy Berkeley Square w Londynie, a moja rodowa siedziba to Fane Park w hrabstwie Hertfordshire. Chciałbym pokazać ci skarby, jakie tam się znajdują, w szczególności obrazy. Ale w twoim nowym domu chciałbym cię mieć wyłącznie dla siebie, żeby nam nie przeszkadzali nawet moi dostojni przodkowie.

- To brzmi wspaniale - rzekła Cyrilla - ale ...

- Co cię niepokoi? - zapytał markiz.

- Niezbyt dobrze cię zrozumiałam, gdy mówiłeś o tym domu.

- Ten dom będzie twój - wyjaśnił markiz - ofiaruję ci go, przepiszę na twoje imię. Cokolwiek się wydarzy, zawsze będziesz miała gdzie mieszkać i z czego żyć. - Przycisnął ją do siebie: - Jesteś moja, piękna „Madonno wśród lilii”. Będę się o ciebie troszczył, opiekował się tobą. Do końca życia nie będziesz się musiała o nic martwić. Przysięgam ci kochanie, że będziemy najszczęśliwszymi ludźmi na ziemi.

Znów zaczął ją całować i nie była w stanie mu odpowiedzieć. Cała pracownia zawirowała przed ich oczami. Po chwili markiz wstał i powiedział:

- Zostawiam cię teraz samą, moja piękna. Powinnaś odpocząć po przeżyciach ostatnich dni. - Cyrilla westchnęła, a on zrozumiał to tak, że chce go prosić, żeby pozostał, więc dodał szybko: - Jeśli nie wyjdę natychmiast, dom nie będzie gotów na jutro. Mam wiele planów, a wszystko to nie będzie łatwe, lecz trudności tylko bardziej pobudzają mnie do działania. - Uśmiechnął się i dodał: - Wiele trudu kosztowało mnie odnalezienie ciebie. Nie bez trudu wszedłem do tego domu, z którego wyganiałyście mnie obie, najpierw ty, a potem Hanna. Teraz czuję się nagrodzony, ponieważ ty mnie kochasz.

Pocałował ją jeszcze raz, a potem wyszedł z pracowni i wkrótce usłyszała jego kroki na schodach i odgłos zamykanych drzwi wejściowych. Wydała cichy bolesny okrzyk wydobywający się z głębi duszy.

Rozdział 4

Cyrilla stała wpatrując się w drzwi, jakby się spodziewała, że markiz wróci, lub jakby chciała pobiec za nim. W końcu patetycznym gestem zakryła twarz rękami i zaczęła płakać, a w tym samym momencie weszła do pracowni Hanna.

- Waśnie się zastanawiałam... - powiedziała i nagle spojrzawszy na Cyrillę spytała: - Co się stało? Czemu panienka płacze?

- Och, Hanno, Hanno! Sama właściwie nie wiem!

Czuła, że potrzebuje pocieszenia i oparcia, przytuliła się do starej opiekunki, cały czas płacząc rozpaczliwie.

- O co chodzi? Co panienkę tak zasmuciło? - dopytywała się Hanna. - Podczas pogrzebu była panienka taka dzielna.

- To nie ... z powodu ... papy.

- Więc co takiego zrobił jego lordowska mość?

Głos Hanny zabrzmiał ostro, a jednocześnie tuliła Cyrillę do piersi, jak to czyniła, kiedy Cyrilla była jeszcze dzieckiem, Hanna patrzyła na nią czule, a jednocześnie w jej oczach czaił się gniew, który dostrzegł markiz ujrawszy ją po raz pierwszy.

- Co takiego powiedział jego lordowska mość?

- Ja myślałam, że ... on mnie kocha.

- Robił takie wrażenie.

- Ja mu wierzyłam ... sądziłam, że on mnie kocha tak, jak ... ja go kocham. - Głos Cyrilli był bardzo niewyraźny, lecz Hanna rozumiała ją, zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, Cyrilla mówiła dalej:

- Nie mogłabym żyć tak jak mama! Nie zniósłabym tego wszystkiego, nawet... gdybym była razem z nim. Kocham go ... kocham go całym sercem, ale nie mogę zgodzić się ...

- To nie jest miłość, panienko. Jaka to może być miłość, jeśli ten pan widział panienkę zaledwie kilka razy. Proszę przestać płakać i posłuchać, co powiem.

Nie mówiła tego jako służąca, lecz jako niania, i Cyrilla postarała się skupić uwagę. Hanna podprowadziła ją do krzesła i posadziła, a sama stanęła obok ze skrzyżowanymi na piersiach rękami.

- Mówiłam już panience po śmierci matki, że powinna panienka wrócić tam, skąd pochodzi, ale panienka nie chciała mnie nawet słuchać.

- Jakże mogłabym to zrobić? Wiesz przecież, w jakim stanie był papa. Musiałam zostać z nim. Tego zapewne życzyła sobie mama.

- Ale jego już nie ma pośród żywych - rzekła Hanna. - Teraz nie zamierzam słuchać żadnych usprawiedliwień. Chciałam to powiedzieć panience zaraz po pogrzebie, lecz jego lordowska mość przeszkodził mi w tym zamiarze.

Napomknięcie o markizie sprawiło, że łzy znów potoczyły się po twarzy Cyrilli.

- Kocham go, Hanno, lecz nie mogę zrobić tego, o co mnie prosi - mówiła ledwo dosłyszalnym głosem.

- Oczywiście, że nie! - rzekła Hanna. - On zwodzi panienkę tak jak i mnie swoją dobrocią, swoimi kwiatami i swoimi pieniędzmi.

Cyrilla uniosła głowę.

- Brałaś od niego jakieś pieniądze, Hanno?

- Tylko parę funtów, które były mi potrzebne na zakup jedzenia. To da się łatwo oddać, jeśli postąpi panienka w sposób właściwy.

- Więc jest jakiś właściwy sposób? - zapytała Cyrilla. - Może ... może ...

- Nie ma żadnego może! - powiedziała ostro Hanna. - Zabieram panienkę do Holm House, i to natychmiast. Proszę przestać płakać i włożyć pelerynę.

- Natychmiast? - zdziwiła się Cyrilla.

- A na co mamy czekać? - zapytała Hanna. - Dawno już powinnam była to zrobić.

Cyrilla westchnęła głęboko.

- Nie wiem, co mam ci odpowiedzieć, Hanno, nie wiem zupełnie, co ... mam robić.

- Ale ja wiem! - odrzekła Hanna. - I proszę się nie sprzeciwiać, na nic się zdadzą wykręty. Jeśli panienka nie chce pójść ze mną, pójdę sama.

Cyrilla spojrzała na nią zdumiona.

- Nie zostawisz mnie tu chyba ... nie mogę sama pozostać

...

Obydwie wiedziały, że markiz może wrócić, a gdyby to zrobił, Cyrilla była pewna, że nie potrafiłaby odmówić mu niczego, o co by ją poprosił. Widząc jej rozterkę Hanna wzięła dziewczynę za rękę i pociągnęła za sobą.

- Chodźmy - powiedziała. - Nie czas na ociąganie się.

- Czy jesteś pewna, że dobrze robimy? - mówiła Cyrilla, lecz Hanna już wyszła z pracowni i skierowała się do jej sypialni. Wzięła stamtąd ciepły płaszcz Cyrilli i przewiesiła go sobie przez ramię.

- Może powinnam włożyć kapelusz - odezwała się Cyrilla.

- Nie trzeba - odrzekła Hanna. - Lepsze jest to okrycie, bo robi się już chłodno.

Zawiązała Cyrilli kaptur pod brodą i zaczęła schodzić po schodach.

- Nie zabierzemy żadnych rzeczy? - zapytała Cyrilla.

- Będzie jeszcze na to czas, gdyby okazały się potrzebne - odrzekła Hanna.

Wzięła z kuchni swój szal i czepek i otworzyła frontowe drzwi.

- Zaczekaj chwilę! - zawołała Cyrilla. - Daj mi pomyśleć! Nie mogę zrobić niczego, czego bym później musiała żałować!

- Jediną rzeczą, której powinniśmy żałować, to tego, że zostałyśmy tu tak długo - rzekła Hanna. - Jak już powiedziałam, musi panienka wrócić tam, skąd pochodzi, bo tam jest panienki miejsce. To jest teraz jedyne właściwe wyjście.

Wyszła na chodnik i czekała na Cyrillę. Dziewczyna opuściła dom ze łzami, Hanna zamknęła za nią drzwi i przekreśliła klucz w zamku, chowając go do kieszeni. Stojąc na krawężniku rozglądała się w poszukiwaniu dorożki. Właśnie zbliżała się ku nim ciągnięta przez zmęczonego konia ze starym woźnicą na koźle, który sprawiał wrażenie, jakby nie zależało mu na pasażerach. Hanna skinęła na niego ręką, lecz nie od razu zwrócił na nią uwagę, w końcu jednak zatrzymał się.

- Wsiadamy, panienko - zarządziła Hanna. Cyrilla tak bardzo była zagłębiała we własnych myślach, że nie bardzo wiedziała, co się wokół niej dzieje. Hanna pomogła jej wejść do środka i zanim sama zajęła miejsce, zwróciła się do dorożkarza:

- Holm House przy Park Lane.

Dorożkarz zdumiał się, gdyż nie spodziewał się kursu do tak eleganckiej dzielnicy. Uniósł nieco kapelusz i powiedział:

- Dobrze, proszę pani.

Hanna usiadła obok Cyrilli i przez chwilę jechały w milczeniu.

- Musi panienka być miła - odezwała się Hanna. - Proszę nie zapominać, że nie mamy się gdzie podziąć.

Cyrilla nic nie odrzekła. Pomyślała, że miałyby dom, gdyby tylko powiedziała tak, dom z ogrodem, w którym mogłaby przesiadywać pośród kwiatów i gdzie byłaby sama

razem z markizem. Przymknęła powieki i znów poczuła smak jego pocałunków, wróciło wspomnienie ekstazy, jaką wówczas przeżyła. O takich właśnie pocałunkach marzyła. Jego miłość wydała jej się cudowna i ucieleśniała jej sny i wyobrażenia. Kiedy jednak pojęła, co zamierza jej ofiarować markiz, zrozumiała, że nie jest to miłość, o jakiej marzyła, nie jest to uczucie, jakie mogłaby przyjąć, lecz coś, co od siebie odsuwała z odrazą. Westchnęła głęboko, co nie uszło uwagi Hanny.

- Wiem, że paniencie ciężko - powiedziała. - Rozumiem to. Ja też cierpiałam przez wszystkie te lata, kiedy byłam razem z matką panienki i musiałam patrzeć, jak marnieje żyjąc w niedostatku, bo odrzuciła życie wygodne i godne szacunku.

- Ale ona się nigdy nie skarżyła - wyszeptała Cyrilla.

- Być może! - odrzekła Hanna. - Może nie żałowała warunków, w jakich żyła ze względu na siebie, lecz z pewnością żałowała przez wzgląd na panienkę. Wiele razy mówiła do mnie: „To nie jest życie odpowiednie dla Cyrilli”.

- Ale ja byłam szczęśliwa razem z mamą i... papą - powiedziała Cyrilla nie chcąc dopuścić, żeby Hanna krytykowała postępowanie jej matki.

- Twoja matka wiedziała równie dobrze jak ja, że potrzebuje panienka towarzystwa innych dzieci, że powinna panienka bywać na przyjęciach, mieć konie pod wierzch - mówiła Hanna.

- Żadna z tych rzeczy nie miała dla mnie znaczenia, dopóki byłam z mamą.

Hanna już zamierzała otworzyć usta, ale się powstrzymała. Nie chciała potępiać matki Cyrilli, która gdy tylko poznała Fransa Wyntacka, od razu stał się dla niej całym światem. Nawet własna córka zeszła na dalszy plan. Cyrilla nie była zazdrosna. Czowała się tylko opuszczona, gdy musiała wychodzić z saloniku i w kuchni szukać towarzystwa Hanny

przypatrując się, jak gotuje. Zdawała sobie doskonale sprawę, że bez starej opiekunki jej życie byłoby jeszcze smutniejsze.

To Hanna zabierała ją na spacer, to ona dawała jej książki do czytania, a kiedy były pieniądze prowadziła na koncerty, a także do teatru na sztuki Szekspira. To Hanna starała się w czasach, kiedy lepiej im się powodziło finansowo, żeby Cyrilla miała nauczycieli, którzy by ją uczyli angielskiego, francuskiego i innych przedmiotów. Lekcje te były nieregularne, lecz ponieważ Cyrilla była bardzo pilna i chętna do nauki, wielu nauczycieli przychodziło do niej nawet wówczas, gdy zalegano z zapłatą. To dzięki Hannie jej wykształcenie nie zostało zaniedbane.

Teraz Cyrilla pomyślała, że nie znała właściwie innego życia niż to, które wiodła w Islington w ciasnych ścianach małego domku. Matka rozmawiała z nią wprawdzie, kiedy Frans Wyntack był zajęty malowaniem lub kiedy nie było go w domu, o wielu rzeczach. Była to kobieta bardzo wykształcona i Cyrilla nieraz myślała, że mogłaby ją więcej nauczyć niż tuzin nauczycieli. Mówiła płynnie po francusku i włosku, grała też na pianinie i potrafiła śpiewać arie operowe. Czytała wiele książek na różne tematy i znała się na malarstwie nawet lepiej od Fransa Wyntacka.

Cyrilla była świadoma swoich braków w edukacji i kiedy się zakochała, przyszło jej na myśl, że markiz mógłby szybko poczuć się nią znudzony. Niczego nie wiedziała o jego życiu i dlatego nie zrozumiała właściwie jego słów: „Nigdy się nie rozstaniemy”. Jak mogła być taka głupia?

„Hanna miała rację” - pomyślała z rozpaczą.

Znów łzy napłynęły jej do oczu i nie była w stanie ich powstrzymać. Jechały w milczeniu, aż ulice stały się szersze i piękniejsze. Znalazły się w dzielnicy Mayfair i skręciły w Park Lane.

- Chyba popełniłam wielki błąd, Hanno - odezwała się Cyrilla. - Wracajmy z powrotem. Gdy markiz przyjdzie, udamy, że nas nie ma. I nadal będziemy mieszkały razem.

- I panienka myśli, że uda się trzymać jego lordowską mość na odległość? - zapytała Hanna.

Słowa te były niczym strumień zimnej wody wylanej na twarz. Cyrilla wiedziała, że nie uda jej się trzymać markiza z dala od jej domu i od jej życia. Myślała z rozpaczą, że może robi głupstwo, walcząc ze swą miłością. Lecz przypomniała jej się matka, wychudzona i schorowana, z oczami wypatrującymi wciąż Fransa Wyntacka, i przyszło jej do głowy, że nie dla niej takie życie. Wydało jej się też nieprawdopodobne, żeby markiz chciał rzeczywiście pozostać z nią.

- Jesteśmy na miejscu! - Głos Hanny przerwał jej rozmyślenia. - Pozostaw wszystko mnie! Ja wszystko załatwię! Nie zapominaj, że nie ma innego wyjścia. Musi panienka to zrobić. Matka panienki pochwaliby to rozwiązanie.

Dorożkarz olśniony przepychem domu, przed którym się zatrzymał, wyskoczył i otworzył drzwiczki. Cyrilla rzuciła okiem na dom, a następnie podążyła za Hanną, która wypłaciła woźnicy należność, i udały się obie w stronę frontowych drzwi. Zanim jeszcze zdążyła zapukać, drzwi się otworzyły i stanął w nich lokaj w liberii i w napudrowanej peruce.

- Czy jego książęca mość jest w domu? - zapytała Hanna.

- Czy jest pani umówiona?

- Chcemy się widzieć z jego książęcą mością - powtórzyła Hanna.

- Jego książęca mość nie przyjmuje nikogo bez uzgodnienia - rzekł lokaj.

- Czy jest pan Burton? - zapytała Hanna.

Lokaj młody i niedoświadczony stał niezdecydowany i Cyrilla weszła za Hanną do holu. Był wielki i ciemny, gdyż wieczorne światło dochodziło do niego tylko przez witrażowe okna. Cyrilla drżała ze zdenerwowania. Od strony schodów szedł ku nim siwowłosy i dostoyny kamerdyner. Chciał właśnie zapytać, co się stało, lecz ujrzawszy Hannę na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Dobry wieczór, panie Burton - odezwała się Hanna.

- Kogo ja widzę! Nie spodziewałem się ujrzeć panią tutaj!
- zawołał.

- Jego książęca mość jest w domu, jak się domyślam?

Hanna nie czekała na odpowiedź. Odwróciła się do Cyrilli i zaczęła zdejmować z niej pelerynę.

- Tu jest ciepło, nie będzie więc panience potrzebne okrycie - rzekła.

Cyrilla odniosła wrażenie, jakby była znów dzieckiem, i pozwoliła służącej zdjąć pelerynę i oddać w ręce lokaja, który zamknąwszy drzwi stał i przysłuchiwał się rozmowie. Nie ulegało wątpliwości, że wygląd Cyrilli zdumiał starego kamerdynera. Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę bez słowa. Potem odezwał się do Hanny niemal szeptem:

- Przyprowadza pani panienkę z powrotem do jego książęcej mości?

Hanna skinęła głową. Ich oczy się spotkały i słowa były niepotrzebne. Kamerdyner ruszył przez hol, za nim szła Hanna trzymając Cyrillę za rękę. Cyrilla postępowała jak automat za starym służącym, który otworzył drzwi i zameldował głośno:

- Dama do waszej wysokości!

Cyrilla weszła do środka, usłyszała szcęk zamykanych drzwi i uświadomiła sobie, że jest sama, bo Hanna została na zewnątrz. W odległym kącie zapelnionego książkami pokoju ujrzała mężczyznę siedzącego w fotelu przed kominkiem.

Przez chwilę mężczyzna nie poruszył się, ale nagle odwrócił głowę i Cyrilla czuła, że oniemiał z wrażenia.

- Loraine!

Był to szept, lecz Cyrilla go usłyszała. Podeszła bliżej czując, że serce wali jej w piersi, a ręce drżą. Gdy szła ku niemu, mężczyzna wpatrywał się w nią, nie mogąc oderwać wzroku. W końcu odezwał się chrapliwym głosem:

- Pewnie mam przed sobą Cyrillę!

- Tak ... ojciec.

- W pierwszej chwili myślałem, że to twoja matka.

- Mama nie żyje.

- Nie żyje? - Wiadomość ta musiała być dla niego szokiem. - Kiedy umarła?

- Dwa lata temu.

- Co jej się stało?

- Była coraz słabsza i słabsza ... z powodu niedożywienia.

Jej słowa wprawiły siedzącego w fotelu mężczyznę w osłupienie.

- Nie rozumiem - powiedział.

- Nie starczało nam pieniędzy na jedzenie. W oczach księcia pojawił się wyraz bólu.

- A więc to dlatego przyszedłeś teraz do mnie? - zapytał po chwili.

- Tak, ojciec.

- Czemu nie wróciłeś zaraz po śmierci matki?

- Gdybym opuściła wówczas ... Fransa Wyntacka, on by skończył ze sobą. Byłam mu potrzebna... Musiałam się nim opiekować.

- A co z nim teraz?

- Umarł wczoraj i Hanna przywiozła mnie do ciebie.

- Więc Hanna jest nadal z tobą?

- Tak ... ojciec. Czeka w holu.

- Więc ty rzeczywiście sądzisz, że pozwolę ci tu zostać po tym, jak odeszłaś z matką i zamieszkałyście z tym ... mężczyzną?

Głos księcia zrobił się oschły. Uderzył w Cyrillę niczym smagnięcie bata. Rzuciła się ku niemu i uklękła przed nim.

- Pozwól mi zostać z tobą, ojcze - błagała. - Nie mam pieniędzy, nie mam się gdzie podziać, chyba żebym zgodziła się na coś, co uwłacza mojej godności, ...mimo że kocham tego człowieka ...

Przypomniała sobie, że utraciła markiza, i łzy potoczyły się jej po policzkach. Nachyliła głowę i przytuliła ją do kolan księcia. Płakała rozpaczliwie jak zagubione i skrzywdzone dziecko. Poczowała, jak dłoń księcia pogładziła ją po włosach, i to przyniosło jej ulgę.

- Kim jest ten człowiek?

Jego głos dobiegał do niej z wielkiej odległości i kiedy zaczęła szukać chusteczki, książę podał jej swoją. Była delikatna i pachniała lawendą. Cyrilla przyłożyła ją do oczu.

- Może mi powiesz, co cię tak zasmuciło? - zapytał książę innym tonem.

- Kiedy mi wyznał, że mnie kocha ... uwierzyłam mu, że mówi szczerze - zaczęła.

- A więc ten mężczyzna nie zaproponował ci małżeństwa?

- zapytał spokojnie książę.

- Nie ...

- Nie dziwi mnie to wcale. Książę nic więcej nie dodał, lecz Cyrilla domyślała się, co chciał powiedzieć.

- On nic nie wiedziało ...mamie - dodała szybko. - Nikt nie wiedział ... nie mieliśmy wcale przyjaciół.

- To była decyzja twojej matki - rzekł książę zmienionym głosem. - Ale przecież mówimy o tobie. Kim jest ten mężczyzna? Jeśli nie mieliście przyjaciół i znajomych, to w jaki sposób go poznałaś?

- On przyszedł do nas... w sprawie obrazu.
- Jak on się nazywa?
- Markiz ... Fane. Książę wpadł w osłupienie.
- Fane! A cóż Fane może mieć wspólnego z tobą? To rozpustnik i uwodziciel kobiet! To nie jest mężczyzna odpowiedni dla mojej córki.

- Ale... ja go kocham... ojciec i nic na to nie mogę poradzić

...

- To się nigdy nie powinno było wydarzyć! - rzekł książę.
- W żadnym razie. I zapamiętaj to sobie, Cyrillo, nie pozwolę, żeby ten człowiek przestąpił próg mego domu!

Zapadło milczenie.

- Czy to znaczy, ojciec - zapytała po chwili - że mogę tu zostać? - Ponieważ książę milczał, dodała: - Jest to jedyny sposób, żeby go więcej nie zobaczyć, proszę ... ojciec... pozwól mi zostać.

- Jeśli tu zostaniesz, to nie dlatego, że się ukrywasz przed markizem Fane, lecz dlatego, że jesteś moją córką - powiedział książę poważnie. - Zawsze wyrzucałem sobie, że popełniłem błąd pozwalając twojej matce zabrać cię ze sobą.

- Zostawiła ci przecież Edmunda, jak on się miewa?

- Przebywa teraz w Europie - odrzekł książę. - Lecz ciebie brakowało mi bardzo przez te wszystkie lata.

- Och, ojciec, czy to możliwe?

- Tak, to prawda.

Cyrilla spojrzała na księcia i w jego oczach dostrzegła zboląły wyraz.

- Pewnie brakowało ci także ... mamy. Książę uniósł się w krzesło.

- Twoja matka opuściła mnie i nie życzę sobie o niej rozmawiać.

- Rozumiem ojciec, lecz chociaż mama była szczęśliwa z Fransem Wyntackiem, myślę, że ... brakowało jej Ciebie i Edmunda bardziej, niż się do tego przyznawała.

- Nie chcę o tym słyszeć - powiedział ksiądz. - Mówmy teraz o Tobie.

Cyryla uśmiechnęła się słabo.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia - rzekła. - Mieszkaliśmy w małym domku w Islington, którego Hanna zawsze nienawidziła. Było tam miło, dopóki żyła mama. Gdy umarła... wszystko się zmieniło.

Ksiądz patrzył na nią przez chwilę, potem wstał i stanął zwrócony twarzą do kominka, a Cyryla nadal klęczała u jego stóp.

- Przeklinam tego człowieka! - zawołał. - Zrujnował moje życie, a teraz rujnuje Twoje.

- Ależ papo.. - wtrąciła Cyryla. Rozumiała jednak dobrze uczucia ojca i kiedy matka umarła, powiedziała do Hanny:

- Teraz dopiero wiem, co papa czuł, kiedy ... mama od niego odeszła. Musiał być bardzo nieszczęśliwy wiedząc, że już nigdy do niego nie wróci.

Pomyślała, że ksiądz bardzo się postarzał od czasu, kiedy go widziała ostatni raz. Osiem lat minęło od tej chwili, jego włosy były teraz zupełnie białe, a twarz pokrywały głębokie zmarszczki. Musiał mieć teraz około sześćdziesięciu lat, lecz wyglądał dużo starzej. Cyryla pomyślała, że resztki młodości uszły z niego wraz z odejściem żony. Ponieważ mu współczuła i chciała mu dopomóc rzekła:

- Jeśli mi pozwolisz tu zostać ... papo, to być może... uda nam się jakoś szczęśliwie ułożyć wspólne życie. Tęskniłam za Tobą, tak jak ty ... tęskniłeś za mną.

Ksiądz uśmiechnął się i wyraz jego twarzy złagodniał.

- Już to samo mnie uszczęśliwi, że będziesz ze mną - powiedział. - Lecz życie ze mną może się okazać dla Ciebie

trudne, bo nabyłem wiele przyzwyczajęń, z którymi niełatwo byłoby mi się rozstać.

- Nie będę niczego od ciebie wymagała - obiecała Cyrilla.
- Teraz zrozumiałam, że Hanna miała rację mówiąc, że tu jest moje miejsce.

- Cieszę się, że tak uważasz - rzekł książę. - Wyrosłaś na bardzo piękną dziewczynę w ciągu tych lat. Jesteś niemal tak piękna jak twoja ...

Nie dokończył zdania. Cyrilla wstała z klęczek i stanęła obok niego.

- Trudno jest nie wspominać mamy - rzekła - lecz odnoszę wrażenie, że mama ... pragnęłaby, żebyśmy byli razem. Hanna mówiła mi, że takie było właśnie jej życzenie,

- Chcę się z nią zobaczyć - powiedział książę. - Wygląda na to, że ona jedna zachowała zdrowy rozsądek w tej sprawie.

Cyrilla uśmiechnęła się.

- Hanna na wszystko patrzy trzeźwym okiem - powiedziała. - Kiedy z nią przebywam, wydaje mi się, że jestem wciąż małą dziewczynką. Ona stale uważa mnie za dziecko, które nie wyrosło jeszcze z zabawek.

Słaby uśmiech zaigrał na ustach księcia. Przypomniawszy sobie, że Hanna była służącą jego żony od początku ich małżeństwa. Jediną rzeczą, jaka powstrzymywała go przed troską o los córki, była świadomość, że znajduje się ona pod jej opieką. Książę nie był człowiekiem gwałtownym, umiał panować nad sobą i nie okazywał swoich uczuć. Lecz kiedy żona uciekła z nie znanym nikomu artystą, nie ukrywał swej nienawiści do tego człowieka. Inny mężczyzna na jego miejscu wyzwałby Fransa Wyntacka na pojedynek i albo by go zabił, albo ciężko zranił zmuszając żonę do powrotu. Lecz książę miał świadomość swojej wysokiej pozycji i zdawał sobie sprawę, że taki postępek wywołałby skandal.

- W tej całej sprawie myślał nie tylko o sobie, ale też o synu, i zdecydował, że najlepiej będzie zignorować całe wydarzenie i nie informować o niczym nikogo. Przez długi czas, gdy go pytano o księżnę, odpowiadał, że przebywa u przyjaciół za granicą. Kiedy wybuchła wojna z Francją, mówił, że wyjechała do Irlandii, bo uwielbia polowania. Nikt nie ośmielał się tego kwestionować, lecz zarówno krewni, jak i przyjaciele snuli rozmaite domysły.

Domyślano się, że dużo młodsza od swojego męża księżna mogła stracić głowę dla jakiegoś młodzieńca, ale nikt nie miał co do tego pewności. Z czasem plotki ucichły i kiedy starsze damy z rodziny księcia zapytywały go o żonę, uzyskiwały wymijającą odpowiedź.

Książę sięgnął do dzwonka.

- Porozmawiam teraz z Hanną - powiedział. - Domyślam się, że pierwszą rzeczą, jakiej ci potrzeba, to nowe stroje.

- To prawda ... papo - odrzekła - lecz nie chciałabym w Londynie nigdzie bywać.

- Jeśli się boisz, że mogłabyś spotkać markiza Fane - rzekł - to mogę cię zapewnić, że ludzie wśród których się obracam, nie przyjmują tego łajdaka, pomimo że jego korne wygrywają wszystkie możliwe wyścigi! - Na twarzy Cyrilli wciąż malował się niepokój, więc książę dodał: - Możemy zresztą wyjechać na wieś. Moja obecność na królewskim dworze nie jest konieczna. Znajdzie się na pewno wielu chętnych na moje miejsce.

- Nie chciałabym psuć twoich planów ...ojcze.

- Ale mnie na pobycie w stolicy wcale nie zależy - odpowiedział. - Nie lubię Londynu, i nigdy nie lubiłem. Gdy zgromadzisz już odpowiednią garderobę, tak żebym nie musiał wstydzić się swojej córki, możemy zamieszkać w zamku. Niewiele się zmienił od czasu gdy byłaś tam ostatni raz.

- Mam nadzieję! - zawołała Cyrilla. - Często mi się śniło, że jeżdżę na kucyku po parku, wspinam się na wieżę, żeby się rozejrzeć po okolicy, czy też karmię złote rybki w stawie.

Książę uśmiechnął się i otoczył ją ramieniem.

- Są tam jeszcze - powiedział - i wkrótce je zobaczymy.

- Bardzo się cieszę z tego powodu, papo. Drzwi się otworzyły i stanął w nich Burton.

Widząc ojca i córkę w czułym objęciu, w jego oczach pojawiło się wzruszenie.

- Przyrowadź do mnie Hanę, Burton - odezwał się książę.

- Zaraz to zrobię, wasza wysokość. Proszę pozwolić, że powiem, że bardzo się cieszę, że lady Cyrilla jest znów wśród nas.

Książę nic nie odpowiedział.

- Już zapomniałam, że to ja jestem lady Cyrilla! Och, papo ...

Powstrzymała się, bo chciała właściwie powiedzieć, że najprawdopodobniej, gdyby markiz wiedział o jej pochodzeniu, zaproponowałby jej małżeństwo. Ten problem nurtował ją stale, choć starała się o tym nie myśleć.

Zaprowadzono ją na górę do jednej z najpiękniejszych sypialni. Natychmiast też posłano lokaja na Bond Street, ażeby powiadomił krawcową, u której zamawiała stroje jej matka, żeby przyszła rano następnego dnia. Cyrilla rozejrzała się po pokoju i pomyślała, że zupełnie już zapomniała, jak eleganckie i wygodne są pomieszczenia w domach należących do jej ojca. Rzadko przebywała w Londynie i z okresu dzieciństwa słabo przypominała sobie Holm House. Opuściwszy dom rodzinny nie sądziła, że go jeszcze kiedykolwiek zobaczy. Teraz Hanna wraz z ochmistrzynią ubraną w czarną jedwabną suknię krzątały się, żeby niczego jej nie zabrakło.

- Nie musi pani przynosić niczego z waszego dawnego miejsca zamieszkania, panno Hanno - odezwała się ochmistrzyni. - Znajdę jakąś koszulę nocną dla panienki, a jutro sprawi się jej nową garderobę.

- Jestem przekonana, że panienka będzie zadowolona - rzekła Hanna.

Gdy tylko ochmistrzyni wyszła, Cyrilla powiedziała:

- Kiedy będziesz szła do naszego dawnego domu, dam ci spis rzeczy, które chciałabym, żebyś mi przyniosła.

- Nie ma tam niczego, co by panience mogło się przydać - odrzekła Hanna z przekonaniem.

- Na pewno są jakieś rzeczy - powtórzyła Cyrilla. - Może obrazy ...

- Proszę zapomnieć o obrazach, milady - powiedziała Hanna. - Sprawily tylko kłopot i nieszczęście. Gdyby to ode mnie zależało, spaliłabym je wszystkie!

- Hanno! - zawołała Cyrilla. - Nie sądziłam, że takie myśli chodzą ci po głowie!

- To przez obrazy wszedł ten mężczyzna do życia matki panienki! - wypaliła Hanna. Obrazy, których nikt nie chciał kupować, to przez nie niemalże głodowaliśmy, to one wreszcie sprawiły, że jego lordowska mość zapukał do naszych drzwi!

- To były właściwie moje portrety - wyjaśniła cichutko Cyrilla. - Nie mówiłam ci tego, Hanno, ale Frans Wyntack namalował mnie na dwóch kopiach znakomitych arcydzieł, które później handlarz obrazów zaniósł do księcia Walii. Oczywiście wywołało to zdumienie, że dwóch artystów, których dzieliło sto pięćdziesiąt lat, korzystało z tej samej modelki.

- Że też coś tak głupiego musiało się przydarzyć - gderała Hanna. - Ale zapomnijmy już o tym. Te lata były dla mnie

koszmarem. Cały czas myślałam o tym, czego obydwie z matką byłyście pozbawione.

- Ale byłaś dla nas taka dobra - rzekła Cyrilla. - Teraz kiedy już wiem, jak bardzo nienawidziłaś tego życia, chciałabym ci powiedzieć, że bardzo mi przykro z tego powodu. Cieszę się przez wzgląd na ciebie, że wszystko to się już skończyło.

- Tak, teraz mamy to już za sobą! - stwierdziła Hanna. - Nie trzeba wracać do przeszłości ani niczego żałować, a tym bardziej wzdychać za jego lordowską mością. Panienska dobrze wie, że ojciec by tego nie zniósł.

- Papa wyrażał się o nim bardzo nieprzychylnie - rzekła Cyrilla jakby do siebie.

- I miał powody - stwierdziła Hanna.

- Nic mi nie powiedziałaś o nim, kiedy pierwszy raz przyszedł do nas - odezwała się Cyrilla.

- Myślałam, że chce nam dopomóc - odrzekła Hanna. - Jedno tylko mogę powiedzieć: dobrze, że panienska miała gdzie przed nim uciec!

Podczas kiedy Hanna zajęta była przygotowywaniem dla Cyrilli kąpieli i prasowaniem jej jedynej sukni, żeby mogła pojawić się w niej na kolacji, Cyrilla stała przy oknie i wpatrywała się w dachy sąsiednich domów. Zapadał zmierzch i niebo było szare. Nagle ogarnęła ją tęsknota za markizem, zdawało jej się, że słyszy jego głos przemawiający do niej w ogrodzie domu, w którym zamieszkaliby tylko obydwie. Wspomniała jednak słowa Hanny i usiłowała więcej o nim nie myśleć. Pokochała markiza, lecz jego propozycja była dla niej nie do przyjęcia. Wiodłaby życie poza własną sferą, życie, w którym musiałaby wszystko poświęcić dla miłości. Przypomniała sobie, w jakiej sytuacji znalazła się jej matka, kiedy opuściła męża. Obawiała się wychodzić z domu, żeby jej nikt nie rozpoznał!

- Przecież w tej dzielnicy nikt nie będzie się spodziewał, że ujrzy księżnę Holmbury - mówił do niej Frans Wyntack.

- Nigdy nic nie wiadomo.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości! - powtarzał. - Pomyśl, kochanie, co ja czuję, kiedy wiem, że okryłem twoje życie hańbą.

- Nie uważam się za zhańbioną - odrzekła księżna. - Obawiam się tylko, że gdyby mój mąż dowiedział się, gdzie mieszkam, mógłby próbować zemścić się na tobie.

- Wziąłem to ryzyko na siebie, kiedy cię zapytałem, czy nasza miłość znaczy dla ciebie więcej niż bogactwo, pozycja i luksus, który miałaś dotychczas.

- Boję się, że mógłby cię zranić, nawet pozbawić życia, a wówczas wszystko straciłoby wszelki sens.

Matka nie wiedziała, że Cyrilla przysłuchuje się ich rozmowie i patrzy, jak Frans Wyntack obejmuje ją. Gdy zaczęli się całować, dziewczyna wymknęła się z pokoju i zeszła na dół do kuchni, gdzie mogła porozmawiać z Hanną o zwyczajnych codziennych sprawach.

Dla matki nie było to łatwe życie, musiała stale uważać, gdy wychodziła z domu, a wybierając się do kościoła zasłaniała twarz gęstą woalką.

- Ludzie na pewno dziwią się, że ukrywasz twarz, mamó - mówiła Cyrilla.

- Niech myślą, że jestem brzydka i nie chcę, żeby mi się przyglądano - odrzekła ze śmiechem.

- Ale ty jesteś piękna, mamó. Patrzenie na ciebie sprawia prawdziwą przyjemność.

Nie odpowiedziała, lecz Cyrilla zdawała sobie sprawę, że ludzie przypatrują się im ciekawie, gdy siedzą w tylnej ławce w kościele i wychodzą natychmiast po zakończeniu nabożeństwa. Po zakupy z Cyrilla chodziła Hanna.

- Gdzie mam dostarczyć towar, proszę pani? - pytał sprzedawca.

- Zabiorę go ze sobą - mówiła Hanna. Cyrilla wiedziała, że sprzedawcy odnoszą się do niej z lekceważeniem, ponieważ nie ma odpowiedniej służby do pomocy. Zachowanie ludzi uświadamiało jej bardzo wyraźnie, że człowieka traktuje się zależnie od sfery, z jakiej pochodzi.

Gdy ktoś przychodził do ich domu z prośbą o pomoc czy pieniądze lub gdy po prostu chciał ich odwiedzić jako nowych sąsiadów, matka uciekała na górę i kryła się swojej sypialni, a Hanna odpowiadała, że państwa Wyntack nie ma w domu.

Po pewnym czasie Frans Wyntack zaczął przyprowadzać do domu swoich kolegów artystów. Cyrilla była już wówczas starsza i czuła się zaszokowana i upokorzona zachowaniem tych ludzi, którzy czasem odnosili się do matki w sposób zbyt poufały. Wiedziała, że jej prawdziwy ojciec nigdy by się tak nie zachowywał.

Nie byli niegrzeczni, nie pozwoliliby sobie na to wobec kobiety tak pięknej. Było jednak coś w ich słowach i spojrzeniach, co raziło Cyrillę. Brakowało im też towarzyskiej oglądy, nie okazywali matce tego szacunku, do jakiego przywykła jako księżna Holmbury. Było to oczywiste, że ludzie wobec księżnej zachowują się inaczej niż wobec kobiety mieszkającej w domu malarza i wychowującej nie jego dziecko.

- Nigdy w przyszłości nie dopuszczę do podobnej sytuacji - postanowiła wtedy Cyrilla. - Pewnego dnia wyjdę za mąż i będę się cieszyła u ludzi poważaniem.

Nie dodała, że nigdy nie opuściłaby domu, i choć rozumiała uczucie, jakim matka darzyła Fransa Wyntacka, jednak uważała, że ona sama nie pozwoliłaby sobie na taką miłość, a gdyby jej się zdarzyło coś podobnego, zdusiłaby ją w zarodku.

Tęskniła za bratem do tego stopnia, że czasem myślała, czyby nie wstąpić do domu, żeby się z nim zobaczyć.

- Edmund obchodzi teraz siedemnaste urodziny - powiedziała matka pewnego dnia. Cyrilla miała wtedy piętnaście lat. - Chciałabym bardzo zobaczyć go i złożyć mu życzenia.

- Myślę, że i on tęskni za tobą, mamo. W oczach matki pojawił się smutek. Cyrilla domyśliła się, że wspomina syna, którego jak się Cyrilli zdawało, kochała bardziej niż ją samą, toteż sądząc, że matka w dniu urodzin Edmunda chce być sama z myślami o synu, zeszła na dół do Hanny.

- Jak myślisz, Hanno, co robi dzisiaj Edmund? - zapytała opiekunkę.

- Pewnie ogląda prezenty, jakie otrzymał - rzekła Hanna. - Ty nie bywasz tak obdarowana w swoje urodziny.

- Mama obiecała, że kupi mi coś ładnego, gdy tylko będziemy mieli pieniądze.

- A kiedy to nastąpi, chciałabym wiedzieć? - zapytała Hanna, wałkując ciasto, tonem zdradzającym rozdrażnienie.

- Może Edmund dostał na urodziny nowego konia? - Cyrilla snuła dalej swoje rozmyślenia. - On zawsze bardzo pragnął mieć konia. Lubiłam bardzo nasze wspólne przejażdżki. Chciałabym dziś z nim pojeździć konno.

- Możesz sobie o tym tylko pomarzyć - odrzekła Hanna. - Jesteśmy nędzarzami. Nigdy nie przypuszczałam, że spotka mnie w życiu coś takiego!

Rozmowa z Hanną wcale nie podniosła Cyrilli na duchu, udała się więc do saloniku, żeby pomarzyć sobie, że galopuje z Edmudem po parku. Jasne włosy Edmunda fruwały na wietrze, ponieważ jak zwykle zapomniał kapelusza. Brat żartuje sobie, ponieważ ona na swoim małym koniku nie może nadażyć za jego nowym wierzchowcem.

- Jaka by to była radość! - westchnęła Cyrilla.

Nagle zawstydzila się swoich myśli, powtarzała sobie przecież co dnia, że powinna być szczęśliwa, że mama zabrała ją ze sobą. Nie mogła się uskarżać na los, bo Frans Wyntack ją lubił. Zwracała się do niego „papo”, żeby sprawić matce przyjemność.

- Teraz on jest twoim tatusiem, kochanie - mówiła do niej matka. - Będzie zadowolony, że ma małą córeczkę, gdyż nie może mieć własnych dzieci.

- Dlaczego nie może, mamó? - zapytała Cyrilla.

Dopiero kilka lat później uświadomiła sobie, że Frans Wyntack i matka nie są małżeństwem, nie mogą więc myśleć o posiadaniu potomstwa, gdyż byłyby to dzieci bez nazwiska. To także wpłynęło na decyzję Cyrilli, która postanowiła, że nigdy nie dopuści do tak przykrew sytuacji.

- Chciałabym mieć kilku takich braci jak Edmund - rozmyślała siedząc sama w pokoju wieczorami. - Jaka szkoda, że nie mam też sióstr, z którymi mogłabym się bawić.

Goście przychodzący do domu Fransa Wyntacka nigdy nie mówili przy niej o jej ojcu. Wiedzieli, że dziewczynka nie jest córką Fransa Wyntacka. Sądzieli, że jej prawdziwy ojciec nie chciał jej uznać i uważali, że nie należy podejmować tak drażliwej kwestii. Było to upokarzające zarówno dla niej, jak też dla matki.

„Jak oni mogą tak źle myśleć o mamie?” - pytała sama siebie. I czasami w zaciszu sypialni myślała, jak bardzo nienawidzi takiego życia.

A co proponował jej markiz?

- Będziemy razem, kochanie - mówił, powtarzając bezwiednie słowa wypowiedane przez Fransa Wyntacka.

- Tylko to ma znaczenie, że jesteśmy razem! - przekonywał Frans Wyntack jej matkę. - Musimy zapomnieć o przeszłości.

Cyrilla wspomniała teraz ten głos, w którym nadal wyczuwało się obcy akcent, i wzruszenie w oczach matki. Jednak ona, Cyrilla, była przekonana, że „bycie razem” jej nie wystarczy. Pragnęła rzeczy zupełnie innych - poczucia bezpieczeństwa, dobrobytu, szacunku, małżeństwa!

Rozdział 5

Markiz z uśmiechem na ustach podążał w kierunku Islington. Miał na twarzy wyraz triumfu jak wówczas, gdy udało mu się wygrać wyścigi lub pokonać przeciwnika w boksie. Dokonał bowiem rzeczy, którą jego sekretarz uważał za niemożliwą, i to wprawiło go w dobry nastrój.

Kiedy wczoraj wieczorem wróciwszy do Fane House posłał po pana Ashwortha, który był nie tylko sekretarzem, ale i zarządcą, czuł, że znalezienie domu dla Cyrilli jest sprawą niezwykle ważną w jego życiu. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że nie będzie w stanie załatwić natychmiast wszystkiego. Wracając z Islington już rozmyślał o obrazach, jakimi zamierzał ozdobić jej mieszkanie, o dywanach, meblach, które stworzyłyby atmosferę godną jej urody. Podjął decyzję, że powinny otaczać ją obrazy podkreślające jej piękność i zdecydował, że przeniesie do je przyszłego domu płótna Bouchera i Botticellego, które zdobiły teraz ściany Fane House.

Kiedy powiedział do sekretarza: „Pragnę dziś zakupić piękny dom z ogrodem w niedalekiej okolicy”, pan Ashworth spojrział na niego ze zdumieniem.

- Dzisiaj milordzie?
- Tak - odrzekł markiz bez wahania.
- Ależ to niemożliwe.
- Dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych - oświadczył markiz.

Mówiąc to uśmiechnął się, a pan Ashworth pomyślał, że coś bardzo radosnego spotkało jego pana, ponieważ wyglądał na szczęśliwego i pewnego siebie. Zastanawiał się, co to mogło być takiego. Nie wchodziły tu w grę wyścigi, w których markiz zwyciężał jak zwykle, ani żadne inne zawody sportowe, w których niezmiennie wygrywał. Lecz wyraźnie

było widać, że ma minę zwycięzcy. Oczywiście pan Ashworth był zbyt taktowny, żeby pytać o cokolwiek.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, milordzie, aby znaleźć odpowiedni dom - powiedział - lecz nie należy sobie robić zbyt wielkich nadziei, bo sezon dopiero się zaczął i wszystkie wolne domy zostały wynajęte przynajmniej na najbliższe dwa miesiące.

- Proszę się rozejrzeć, Ashworth - polecił markiz.

- Na biurku leżą dwa listy do podpisania, milordzie - oświadczył pan Ashworth rad, że może zmienić temat rozmowy. - Muszę też panu powiedzieć, że pańska krewna lady Bletchley zmarła dzisiejszej nocy.

- Proszę posłać wieniec - rzekł automatycznie markiz podpisując listy wręczone przez sekretarza.

- Oczywiście, milordzie - odparł sekretarz. - Pogrzeb odbędzie się na prowincji, ponieważ lady Bletchley skończyła życie w domu syna.

Markiz uniósł głowę znad biurka.

- Czy mnie pamięć nie myli, że lady Bletchley posiadała dom w pobliżu?

- W rzeczy samej, milordzie. Przy South Street pod numerem dziewiętnastym.

Markiz spojrział na sekretarza i gdy ich oczy spotkały się, pan Ashworth zawołał:

- Może to jest ta okazja, milordzie!

- Wydaje mi się, że lady Blatchley nie mieszkała w Londynie w ciągu ostatniego roku.

- Nie potrafię nic o tym powiedzieć, milordzie.

- Mówiono - kończył markiz - że wyjechała na wieś, gdyż była chora, a najstarszy syn zaopiekował się nią w rodzinnej siedzibie. - Pan Ashworth milczał zdając sobie sprawę, że markiz myśli na głos. - Wiem na pewno - kontynuował markiz - że pozostawiła dom w dzielnicy Mayfair młodszemu synowi,

zamiłowanemu hazardziście. Widywałem go często u White'a. Jeśli się tam udam natychmiast, być może zastanę go jeszcze, zanim wyjedzie na pogrzeb matki.

- Pogrzeb jest dopiero pojutrze, milordzie.

- A zatem Charlie Bletchley zapewne przesiaduje w tej chwili w klubie - rzekł markiz wstając z miejsca.

Niemalże wybiegł z pokoju, a sekretarz patrzył w ślad za nim zdumiony. Co się takiego wydarzyło? Co spowodowało ten nagły przyływ energii? Zniknął też cyniczny sposób zachowania jak również lekceważące traktowanie wszystkich wokół.

Kiedy markiz jechał w stronę Islington, jego twarz wyrażała zadowolenie. Dom lady Bletchley był właśnie tym, o czym marzył dla Cyrilli. Oczywiście cały należało całkowicie odnowić, lecz znajdowały się w nim piękne meble, które mogły pozostać, dopóki według swego gustu nie urządzi pokoi, pięknie ozdobionych fryzami, kominkami i pięknymi parkietami. Zasłony i dywany nie spełniały wprawdzie wymagań markiza, lecz były w dobrym guście. Pomyślał, że po ciasnocie i ubóstwie domku w Islington Cyrilla będzie zadowolona ze swej nowej siedziby.

Dom był otoczony niewielkim, dobrze utrzymanym ogrodem. Obecnie kwitły w nim tulipany i żonkile, a drzewa owocowe również były obsypane kwieciem. Patrząc na nie markiz wyobrażał sobie, jak piękne tło będą stanowiły dla urody Cyrilli. Czuł ogromną potrzebę przebywania z nią, trzymania jej w objęciach, całowania jej ust. Uświadomił sobie, że nigdy jeszcze nie doznawał takiego uczucia, jak wówczas, kiedy całował Cyrillę. Domyślał się, że i dla niej było to czarowne przeżycie.

- Kocham ją! - powiedział do siebie. - Nigdy jeszcze nie odczuwałem czegoś podobnego.

Początkowo zaczął drwić z intensywności swoich uczuć, lecz przyszło mu na myśl, że raczej powinien być wdzięczny losowi, że pozwolił mu poznać doskonałość miłości. Dotychczas znajdował doskonałość tylko w dziełach sztuki i w sporcie.

Charlie Bletchley zgodził się sprzedać odziedziczony po matce dom, ale wymienił sporą sumę, był bowiem bardzo zadłużony i liczył, że spadek wybawi go z kłopotów finansowych. Markiz nie zabawił długo u White'a i kiedy zakupił dom przy South Street wraz z umeblowaniem, mógł za zgodą poprzedniego właściciela wprowadzić się tam natychmiast, jeszcze przez załatwieniem niezbędnych formalności.

- Muszę przyznać, że nie tracisz czasu, kuzynie - powiedział Charlie Bletchley. - Myślałem, że będę musiał utrzymywać ten dom przez kilka miesięcy, zanim znajdę kupca, i ponosić wszelkie inne koszty!

- Zatem dobrze się stało! - odparł markiz.

Wracając z klubu markiz rozmyślał, że we wszystkim, co się w jego życiu wydarzyło znać palec przeznaczenia. Bo czym innym jak przeznaczeniem wytłumaczyć fakt, że Frans Wyntack po zrobieniu kopii van Dycka zaniósł obraz akurat do Isaacs'a, który z kolei zaprezentował go księciu Walii.

„Chyba powinienem mu kiedyś wyjaśnić, że obraz jest jedynie kopią” - pomyślał, lecz zdawał sobie doskonale sprawę, że tego właśnie robić nie powinien, bo książę w żadnym razie nie może się dowiedzieć o istnieniu Cyrilli.

- Ona jest moja, wyłącznie moja! - powiedział do siebie.

Pomyślał, jakie to będzie fascynujące wchodzić do domu przy South Street ze świadomością, że zostanie tam z Cyrillą sam na sam i nikt nie będzie im przeszkadzał. Położył się do łóżka późno, ponieważ musiał wiele spraw przemyśleć i zaplanować, lecz wstał jak zwykle wczesnym rankiem.

Wybierał się do dzielnicy Islington zaraz po powrocie z przejażdżki konnej po parku. Nie spodziewał się rozmów z panem Ashworthem.

Nadzorca budowlany, któremu powierzył opiekę nad domem wykrył kilka usterek, które należało natychmiast usunąć. Choć zazwyczaj wiele spraw markiz powierzał bez zastrzeżeń swemu sekretarzowi, gdy jednak chodziło o dom dla Cyrilli uważał, że ta rzecz wymaga jego osobistego zaangażowania. Uważał, że zanim wyda odpowiednie polecenia, musi sam wszystko obejrzeć i zdecydować, co powinno być zrobione. Dlatego razem z inspektorem i sekretarzem udał się na South Street i znalazł jeszcze wiele innych szczegółów wymagających zmiany.

Do wielkiej sypialni na piętrze, której łukowe okna wychodziły na ogród, wszedł jednak sam. Znajdowało się tam rzeźbione łoże ozdobione syrenami i delfinami. Pokrywała je błękitna materia, której barwa świetnie harmonizowała z kolorem włosów Cyrilli. Markiz stał przez chwilę wyobrażając sobie ją w tym łożu maleńką i delikatną, właśnie taką, jaką uwiecznił Lochner na swoim obrazie.

- Kocham ją i sprawię, żeby była szczęśliwa - powiedział w duchu markiz.

Jednocześnie miał dziwne wrażenie, jakby wszystkie jego dotychczasowe kochanki stawały pomiędzy nim a Cyrillą. Odpędził te myśli i podszedł do okna wpatrując się w ogród. Zdawało mu się, że Cyrilla jest niczym niezapominajka, piękna i subtelna, gdy rośnie w cieniu drzew, lecz żalosna i zwiędnięta, kiedy się ją zerwie. Zastanawiał się, czy uczyniwszy Cyrillę swoją kochanką nie zniszczy jej uroku, czy nie pokala jej czystości i świętości. Wytłumaczył sobie jednak, że ich miłość nie może jej pohańbić, że będzie stale rosła, ponieważ czuł, że Cyrilla jest częścią jego istoty.

- Uwielbiam ją! - powiedział do siebie. - Nie zrobię niczego, co mogłoby ją zranić!

Dobiegało południe, kiedy w końcu mógł wyjechać do Islington. Pomyślał, że Cyrilla może być zaniepokojona jego nieobecnością, lecz przecież obiecał, że na pewno przyjedzie i ją zabierze. Kazał panu Ashworthowi wysłać kryty powóz po Hannę i bagaże, a sam postanowił umieścić Cyrillę w swoim, wiedząc, że potrafi docenić jego zaprzęg nie mający sobie równych w całym Londynie.

Jechał bardzo prędko i przybył na ulicę Królowej Anny szybciej, niż się spodziewał. Upłynie jeszcze sporo czasu, zanim przybędzie tu powóz po bagaże. Gdy zajechali na miejsce, stajenny stanął przy koniach, a markiz wyskoczył z powozu i zastukał mosiężną kołatką do obdrapanych drzwi.

- Domyśli się z pewnością, kto puka - powiedział do siebie uśmiechając się.

Spojrzał w stronę okna mając nadzieję, że może Cyrilla wypatruje go. Spodziewał się usłyszeć odgłos kroków w sionce, lecz panowała głucha cisza, zapukał jeszcze raz tak głośno, że zwróciło to uwagę przechodniów.

„Przecież powinna się mnie spodziewać” - pomyślał.

Był przekonany, że Cyrilla jest niezdolna do objawiania złych humorów, jak to się zdarzało innym kobietom. Znowu nie było odpowiedzi i tym razem markiz zachmurzył się. Wydało mu się to dziwne, że Cyrilla wyszła na zakupy razem z Hanną, podczas kiedy wiedziała, że on po nią przyjedzie. Znowu zastukał, a potem wyszedł na chodnik przed dom. Jeśli wyszły do sklepu, to zapewne niedługo wrócą. Może nie miały w domu niczego do jedzenia i Cyrilla postanowiła wyjść, ponieważ nie zjawił się rano.

- Dałem przecież Hannie pieniądze - powiedział do siebie.
- Powinna była mieć na tyle rozsądku, żeby wyjść po zakupy, nie czekając do południa.

Zapukawszy jeszcze kilka razy spostrzegł, że nadjeżdża powóz na bagaże. Ciągnęły go wyśmienite konie w srebrzystej uprzęży i w blasku słońca robiło to duże wrażenie. Rozdrażniło go to jednak, że gdy wszystko jest gotowe, Cyrilli i Hanny nie ma w domu. Przychodziły mu do głowy różne tego powody. Tymczasem powóz zatrzymał się, woźnica wysiadł i czekał na dalsze polecenia. Markiz pomyślał, że może obie zachorowały, skinął więc na stangreta.

- Obejdź dom dokoła, Henry - powiedział. - Może jest tam jakieś okno, które dałoby się otworzyć i wejść do środka. Jeśli nie, wybij ostrożnie szybę.

- Tak jest, milordzie - odrzekł Henry, którego wcale nie zdziwiło polecenia markiza.

- Kiedy będziesz w środku, otwórz frontowe drzwi - dodał markiz.

- Dobrze, milordzie.

Henry pobiegł na tył domu i po chwili markiz usłyszał jego wołanie.

- Frontowe drzwi są zamknięte, lecz można wejść od tyłu, milordzie.

Markiz nic nie odpowiedział. Obszedł dom dokoła i stwierdził, że drzwi kuchenne są rzeczywiście otwarte. Dostrzegł też w oknie wybitą szybę.

- Te drzwi były tylko zasunięte na zasuwę, lecz frontowe są zamknięte.

- Rozumiem - odparł markiz.

Oznaczało to, że Hanna i Cyrilla opuściły dom frontowym wyjściem zamykając za sobą drzwi na klucz. Ale dlaczego? Co się stało? Wszedł do saloniku mając nadzieję, że znajdzie tam wyjaśnienie ich nieobecności. Potem udał się do pracowni, ale niczego nie znalazł. Przypatrywał się dokończonym i jeszcze wiszącym na sztalugach obrazom.

Spojrzał na sofę, na której niedawno siedział i całował Cyrillę. Z tego miejsca ziało teraz pustką.

Szybko wyszedł na korytarz, skąd prowadziły drzwi do trzech sypialni. W jednej z szerokim małżeńskim łóżem zmarł Frans Wyntack, druga obok należała zapewne do Cyrilli. Był to mały, skromnie umeblowany pokój, lecz niektóre szczegóły przypomniały mu dziewczynę: serwetka z falbankami na toaletce, tanie drobiazgi, jakie zwykły gromadzić dzieci. Kiedy otworzył drzwi szafy, poczuł kwiatowy zapach i dostrzegł kilka skromnych sukienek wiszących na wieszakach.

Poczuł ulgę. Nie sądził bowiem, że mogłaby opuścić dom zostawiając swoją garderobę. Wiedziony jakimś dziwnym instynktem wszedł również do sąsiedniego pokoju, jeszcze mniejszego od pokoju Cyrilli. Zajmowała go zapewne Hanna. Panowała w nim surowa atmosfera jak w celi zakonnicy. Otworzył i tu szafę. Była pusta! Markiz wzburzony wysuwał kolejno szuflady komody. Były także puste! Ani jedna rzecz, ani jedna para obuwia nie została w tym pokoju. Markiz stał spokojny, lecz wyraz jego twarzy był przerażający.

Późnym wieczorem tego samego jeszcze dnia, kiedy Cyrilla położyła się już do łóżka, Hanna zapytała, czy może się widzieć z księciem, który kazał Burtonowi powiedzieć Hannie, że może ją przyjąć. Weszła powoli i ukloniła się z uszanowaniem. Siedział w swoim ulubionym fotelu przed kominkiem.

- Muszę podziękować ci, Hanno, za to, że przywiozłaś Cyrillę - powiedział. - Szkoda tylko, że dopiero teraz.

- Chciałam to zrobić wcześniej, wasza wysokość, ale nie było to możliwe.

- Rozumiem - odrzekł książę. - Teraz kiedy już jest ze mną, chciałbym zapomnieć o przeszłości, całkowicie

wymazać z pamięci te osiem lat, które minęły. Nie będzie się o nich mówiło w tym domu. Czy mnie zrozumiałaś?

- Tak jest, wasza wysokość.

- Jestem ci wdzięczny, Hanno, za opiekę nad moją córką, mam nadzieję, że nadal będziesz się nią opiekować.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, wasza wysokość.

Książę czekał czując, że Hanna ma mu coś do powiedzenia.

- Mam pewną sprawę, wasza wysokość.

- Cóż takiego?

- Jutro wczesnym rankiem zamierzam pójść po moje rzeczy. Myślę, że nie będzie trzeba przynosić ubrań panienki Cyrilli. Chciałabym wiedzieć, co wasza wysokość zamierza zrobić z domem? I dla wyjaśnienia dodała: - Ten dom należy teraz do panienki, mam na to dokumenty.

Książę zastanowił się przez chwilę.

- Spal go, niech się rozpadnie w gruzy! - powiedział wreszcie.

- Spalić go doszczętnie, wasza wysokość?

- To będzie właściwy dla niego koniec i nie rozmawiajmy już o tym więcej.

Hanna wstrzymała oddech z wrażenia.

- Dobrze, wasza wysokość.

Pospieszyła do Islington, kiedy Cyrilla jeszcze spała i wróciła stamtąd po godzinie. Zapakowała swoje rzeczy osobiste, pozostawiając garderobę Cyrilli, i kiedy znalazła się przed drzwiami pracowni, zawahała się przez chwilę, a potem weszła do środka i wyjęła z szuflady szkic portretu matki Cyrilli. Trzymając go w ręku i przypatrując się pięknej twarzy zmarłej księżny, Hanna doznała wzruszenia. Obawiając się, że może się rozplakać, schowała portret do torby i szybko zeszła na dół.

Ten sam wewnętrzny impuls, który powodował Hannę, sprawił, że markiz zatrzymał się dokładnie w tym samym miejscu. Opuściwszy sypialnię Hanny wszedł do pracowni i zaczął szukać w szufladzie, do której, jak zapamiętał, Cyrilla schowała portrecik matki ofiarowując mu swój własny. Nie było go tam! Pootwierał wszystkie inne szuflady, lecz nie znalazł. Portret zniknął razem z Cyrillą. Chciał krzyknąć, walić pięściami w ścianę, przewrócić wszystko do góry nogami, lecz zapanował nad sobą, zszedł na dół, gdzie czekał na niego powóz. Wsiadł spieszenie i ruszył ulicą nie mogąc ukryć swego wzburzenia, zawodu i gniewu.

- To niemożliwe! To nieprawda, że ona zniknęła - powtarzał sobie raz po raz.

Ponieważ nie dowierzał, że rzeczywiście tak się stało, zawrócił w połowie drogi i znów podążył w stronę Islington. Odnalazł tylne wejście i wszedł do domu. Tym razem jeszcze bardziej niż poprzednio rzuciły mu się w oczy pustka i opuszczenie wiejące z całego wnętrza, jakby dusza domu ulotniła się, a pozostała tylko zewnętrzna skorupa. Wszedł po schodach na górę i znalazł się powtórnie w sypialni Cyrilli. Tutaj przynajmniej czuł jej zapach i wyobrażał sobie, że jej dusza czeka na niego.

- Jak mogłaś, kochanie, postąpić ze mną w taki sposób? - pytał. - Jak mogłaś mnie porzucić po tym, co sobie wyznaliśmy?

Ponieważ trudno było w to wszystko uwierzyć, nasunęło mu się tylko jedno przypuszczenie: musiała ulec wypadkowi i Hanna zawiozła ją do szpitala. Cyrilla nie mogłaby przecież rozmyślnie opuścić go i kazać mu cierpieć. To niemożliwe, żeby okazała się taka okrutna.

Tym razem wyszedł z małego domku i dojechał do Berkeley Square, a jadąc czuł się coraz bardziej przybity. Dręczyła go obawa, która niczym trucizna zatruwała jego

umysł i mąciła myśli. Jeśli Cyrilla odeszła, to co powinien zrobić? Gdzie jej szukać? Od czego zacząć poszukiwania? Wysiadając z powozu i wchodząc do własnego domu pomyślał, że musi się znaleźć jakieś rozwiązanie.

- Obiad gotowy, milordzie - zaanonsował kamerdyner spokojnie, jakby nic się nie stało, choć markiz spóźnił się dwie godziny na posiłek.

Podczas obiadu markizowi przyszło na myśl, że jeśli wróci do Islington, to Cyrilla będzie z pewnością czekała na niego.

- Musiało chyba zajść jakieś nieporozumienie - uspokajał się, lecz pusta szafa w sypialni Hanny świadczyła o czymś innym. - Lecz jeśli rzeczy Hanny zniknęły, czemu pozostały Cyrilli?

Markiz zjadł wprawdzie obiad, ale nie wiedział ani co je, ani co pije. Po obiedzie sekretarz chciał się z nim widzieć, lecz odmówił wiedząc, że pan Ashworth będzie mu opowiadał o nowo zakupionym domu. Nie był w stanie o nim teraz rozmawiać, ponieważ obawiał się, że stracił osobę, która miała w nim zamieszkać.

Udał się ponownie do domu w dzielnicy Islington i pozostał tam ponad godzinę, podczas gdy jego konie stały niespokojnie przy trotuarze. Usiadł w małym saloniku, gdzie po raz pierwszy objął Cyrillę pocieszając ją po śmierci Fransa Wyntacka. Próbował odtworzyć sobie w pamięci wszystko, co się wydarzyło, od chwili ich poznania, i prześledzić słowo po słowie wszystkie ich rozmowy. Po raz pierwszy rzuciło mu się w oczy, że zachowywała się jakoś dziwnie, choć wówczas nie zdawał sobie z tego sprawy. Było to wtedy, kiedy mówił o domu, który zamierza kupić dla niej i w którym będą mogli być razem.

„Niezbyt dobrze cię zrozumiałam, gdy mówiłeś o tym domu.”

Słyszał jej wahający się i niepewny głosik.

„Ten dom będzie twój - odrzekł. - Ofiaruję ci go, przepiszę na twoje imię. Cokolwiek się wydarzy w przyszłości będziesz miała gdzie mieszkać i z czego żyć.”

Przypomniał sobie, że ją wówczas objął, a potem mówił dalej:

„Jesteś moja, piękna «Madonno wśród lilii». Będę się o ciebie troszczył, opiekował się tobą. Do końca życia nie będziesz się musiała o nic martwić. Przysięgam ci, kochanie, że będziemy najszczęśliwszymi ludźmi na ziemi.”

Wspomniał teraz, że nic mu nie odpowiedziała, bo zaczął ją całować, a uczucia, jakich wówczas doznał, były nieporównywalne z tymi co przeżywał dotychczas. Jej pocałunki wprowadziły go w ekstazę, której nie sposób wyrazić słowami. Nadludzkim wysiłkiem zmusił się do oderwania warg od jej ust i do wstania z miejsca. Tłumaczył jej, że musi odejść, ponieważ ma wiele spraw do załatwienia. Na pożegnanie powiedział:

„Wiele trudu kosztowało mnie odnalezienie ciebie. Nie bez trudu wszedłem do tego domu, z którego wyganiałyście mnie obie, najpierw ty, a potem Hanna. Teraz jednak czuję się nagrodzony za moje wysiłki, ponieważ ty mnie kochasz!”

Nie mogąc się powstrzymać znów ją pocałował. Nigdy nie przypuszczał, że usta kobiety mogą mieć taką słodycz, że mogą być tak delikatne i posiadać tak przyciągającą siłę. Wbrew własnej woli opuścił ją i zszedł na dół po schodach czując, jakby pozostawiał jedyną istotę liczącą się w jego życiu.

Teraz przypominając sobie to wszystko pomyślał, że mu przecież nie odpowiedziała. Nie dała mu do zrozumienia, że się cieszy z powodu domu. Nic nie odrzekła na jego plany.

- Czy zrobiłem coś złego? Czym mogłem ją rozgniewać?
- zapytywał siebie markiz.

Nagle jakby jakiś wewnętrzny głos podszeptał mu to i markiz zrozumiał: ona chciała wyjść za mnie za męż!

Nigdy markizowi nie przeszło nawet przez myśl, że Cyrilla mogłaby zostać jego żoną. Było to zrozumiałe, ponieważ uczynić swoją żoną mógł tylko kobietę, która w niczym by nie przypominała tych, które wybierał sobie na kochanki. Zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia będzie musiał mieć potomka, rozumiał konieczność ożenku, lecz uważał, że ma jeszcze na to wiele czasu.

Jego żoną, jak to sobie wyobrażał, powinna zostać kobieta piękna i wykształcona, która umiałaby podejmować gości w równie czarującym sposób, jak to robiła jego matka, która bez tremy gościłaby księcia Walii czy inne dostojne osobistości, która wreszcie prezentowałaby się godnie na miejscu przy stole przeznaczonym dla pani domu. Jako markiza Fane, jego małżonka zapraszana by była na liczne bale, przyjęcia, gdzie gromadził się wielki świat. Odwiedzałyby z nim również Carlton House, gdyż byłaby mile widziana przez księcia Walii, jako żona jego przyjaciela.

Jak mógł nawet przez sekundę myśleć, zapytywał sam siebie, że Cyrilla ze swoją urodą cielesną i walorami duchowymi mogłaby pasować do tego świata? Nie sądził nawet, że mogłaby się spodziewać czy liczyć na to, że zostanie markizą Fane. Przyszło mu teraz na myśl, że niewinne kobiety uważają miłość bez ślubu za grzech. Markiz tak się już przyzwyczył do swego rozpustnego trybu życia, że nie zwrócił uwagi na to, iż w oczach tak zwanych przyzwoitych kobiet jest donżuanem i grzesznikiem.

Ale teraz nie chodziło o jego „złą reputację” - jak to określał książę Walii. - Wiedział, że jego zachowanie wywoływało zgorszenie osób należących do starszej generacji i że kobiety, z którymi romansował, zbyt poważnie traktowały jego awanse, jak na przykład lady Izabela Chatley. Lecz gdy

głębiej się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że Cyrilla zniknęła z zupełnie innego powodu.

Dla niej miłość była świętością! Przypomniawszy sobie jedno jej odezwanie:

„Jakże ja jestem wdzięczna Bogu, że ... mi ciebie zesłał.”

Oto kim był - rycerzem w świetlistej zbroi zesłanym przez Boga, żeby ją uwolnić od samotności i lęku. Powoli markiz zaczynał rozumieć. Młoda, niewinna, nie zepsuta i pełna idealizmu Cyrilla była inna od wszystkich kobiet, jakie znał. Kiedy ją pocałował po raz pierwszy i kiedy jej powiedział, że ją kocha, nie przeszło jej nawet przez myśl, że nie zamierza się z nią ożenić.

- Jak mogłem tego nie wiedzieć? - zapytywał sam siebie. - Wszystko bym jej wytłumaczył.

Lecz co by jej wytłumaczył? To, że nie jest odpowiednio dobrze urodzona, żeby zostać jego żoną? Że w jej żyłach nie płynie krew równie błękitna jak jego? Że jej rodzice nie posłuchali tych, którzy uważali, że drzewo genealogiczne jest ważniejsze od miłości?

Jak mógłby jej to wszystko wytłumaczyć? I jak mógłby jej wyjaśnić, że nie zamierzał się z nią ożenić? Oczywiście zgodziłby się na małżeństwo, gdyby sobie tego wyraźnie życzyła, bo nade wszystko nie chciał jej utracić. A jeśli z tego powodu odeszła, była to wyłącznie jego wina. Gdyby to jednak wiedział? Gdyby choć przez chwilę przypuszczał? - powtarzał w rozpaczony raz po raz.

Nagle inna kwestia zaprzętnęła jego umysł. Czemu napis na nagrobku jej matki był sformułowany tak dziwnie? Czy to możliwe, że jej matka nie była żoną Fransa Wyntacka? Jeśli tak było rzeczywiście, to opór Cyrilli przeciwko wchodzeniu w nieformalne związki był całkiem zrozumiały. Jego propozycja przeraziła ją.

- Czemu mi tego nie powiedziała? - pytał markiz. - Mogła mi przecież zaufać!

Widział przed oczami napis wyryty na nagrobku:

Loraine

Ukochana przez Fransa Wyntacka i Cyrillę.

Teraz był pewien, że Cyrilla nie była córką Fransa Wyntacka, choć zwracała się do niego „papo”. Ale czy to mu pomoże w odnalezieniu jej? Znow wszedł do sypialni Cyrilli.

- Wróć do mnie! - wołał, jakby go słyszała. - Wróć! Wszystko ci wytłumaczę! Moja miłość jest silniejsza i nie cofnie się nawet przed małżeństwem!

Przez chwilę zastanawiał się, czy tak jest w istocie. Nagle poczuł, że to prawda. Pragnął spędzić z Cyrillą resztę swojego życia. Była częścią jego ciała, nie mógł jej utracić. Cała jego istota wyrywała się do niej. Czuł się jak rozbitek i tylko ona mogła go uratować. A jednocześnie miał bolesną świadomość, że utracił ją nieodwołalnie i na zawsze.

Kiedy krawcowa ukloniwszy się opuściła sypialnię Cyrilli, Hanna pomogła jej zdjąć ozdobioną koronkami suknię, którą dopiero co przyniesiono. Dziewczyna podeszła do okna i stanęła wpatrzona w drzewa parku. Ile razy to czyniła, myślała o ogrodzie, który markiz zamierzał dla niej zakupić. Oczami wyobraźni widziała, jak się do niej zbliża.

- Wygląda panienka na zmęczoną - usłyszała głos Hanny.

Cyrilla chciała odpowiedzieć, że czuje się nieszczęśliwa, lecz westchnęła tylko głęboko.

- Istotnie jestem znużona - odrzekła. - Nie przywykłam przymierzać tylu sukien.

- Spotkała się panienka z wielkim uznaniem - mówiła Hanna. - Krawcowa schodząc na dół mówiła, że w całym Londynie ze świecą nie znajdzie się takiej piękności jak milady.

- Nie zamierzam bywać w towarzystwie - rzekła szybko Cyrilla, wyraźnie przestraszona. - Papa mi to obiecał!

- Ależ oczywiście! Pojutrze wyjeżdżamy na wieś - uspokoiła ją Hanna. - Jego książęca mość oznajmił mi to dzisiaj. Chciałabym jednak, żeby panienka poznała osoby w swoim wieku i nawiązała z nimi przyjaźnie.

- Zupełnie mi wystarczy towarzystwo papy - odrzekła Cyrilla.

- To niemądre! - powiedziała Hanna. - Lecz teraz nie musimy się tym martwić. Gdy zamieszkamy na zamku, panienka zapewne zmieni zdanie.

- Być może.

Cyrilla westchnęła wciąż wpatrzona w ogród.

- O czym panienka tak duma? - zapytała Hanna nie mogąc powstrzymać ciekawości.

- Myślę o pustym domu i o ... markizie.

- Proszę o nim zapomnieć! Musi panienka wyrzucić go z pamięci, żeby nie wiem jak było ciężko. Znała go panienka przecież tak krótko.

- Myślę, że to nie ma żadnego znaczenia. - W głosie Cyrilli brzmiało rozmarzenie. - Miłość... po prostu... ot tak. Pojawił się i nieważne, czy znałam go długo, czy krótko.

- Taka postawa niczemu nie służy - zganiała ją Hanna.

- Właśnie się...zastanawiałam, co mogłoby mi pomóc - rzekła Cyrilla. - Czuję się tak, jakby mi czegoś brakowało. On zabrał ze sobą moje serce.

Hanna zamruczała coś pod nosem wyraźnie poirytowana. Potem zaczęła kręcić się po pokoju otwierając i zamykając szuflady i przesuwając krzesła. Cyrilla wciąż milczała.

- Może panienka włoży jedną z nowych kreacji - rzekła Hanna. - Jego książęca mość chciałby zjeść z panienką podwieczorek. Niech zobaczy swoją córkę w nowej toalecie.

Cyrilla pomyślała, że nie ojcu chciałyby się pokazać w pięknych strojach, lecz komuś zupełnie innemu. Pozwoliła jednak, żeby Hanna wystroiła ją w niezwykle kosztowną suknię, w której wyglądała niczym bogini. Ale Cyrilla nawet nie spojrzała na siebie w lustrze i gdy już była gotowa, zeszła na dół z wyrazem twarzy, który zasmucił starą nianię.

- To przez tego człowieka! Czemu musiał się pojawić w jej życiu w chwili tak nieodpowiedniej? - zapytywała samą siebie. - Gdyby przyszedł kilka dni później, Cyrilla już byłaby tutaj i nie wiedziałaby nawet, że ktoś taki jak markiz Fane w ogóle istnieje. Czemu tak się nie stało? Jednak swojemu losowi człowiek umknąć nie zdoła.

Tak samo myślała Cyrilla. Przebywanie z ojcem byłoby bardzo miłe. Podniecająca byłaby myśl, że wyjadą na wieś i że za kilka miesięcy ujrzy brata. Gdyby nie ...to, że poznała markiza, że się w nim zakochała, że miłość ku niemu wypełniła całą jej istotę.

- Kocham go! - szepnęła ze smutkiem. Trudno jej było skupić się na czymkolwiek,

ponieważ wciąż słyszała jego głos i wciąż jej się zdawało, że widzi jego twarz. Cały czas wspominała słodczy jego pocałunków.

to trzeciej bytności na przedmieściu Islington markiz wrócił do domu z tak ponurą miną, że lokaj w holu spojrzał na niego z obawą. Więcej odwagi wykazał pan Ashworth.

- Czy coś się stało, milordzie? - zapytał. Markiz przez moment zawahał się, a potem nie mogąc się powstrzymać odezwał się:

- W jaki sposób można odnaleźć osobę, która zaginęła? Od czego należy zacząć poszukiwania zaginionej kobiety?

Pan Ashworth był nie tylko zdumiony, słysząc te cisnące się na usta markiza pytania, ale też ogarnęło go współczucie. Teraz dopiero pojął, co się wydarzyło.

- Czy dotyczy to damy, dla której zakupił pan dom, milordzie?

- Niech pan sobie wyobrazi, Ashworth, że ona zniknęła! Powiedziałem, że przyjadę po nią do Islington. Byłem tam już trzykrotnie, a jej wciąż nie ma.

- Może, milordzie ...

- Jej zniknięcie musi mieć jakąś przyczynę. Zaszło po prostu nieporozumienie, dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę. Muszę ją koniecznie odnaleźć! Muszę!

W tym stwierdzeniu markiza była pewność siebie, a jednocześnie wyczuwało się w jego słowach wołanie o pomoc.

- Nie sądzi pan, milordzie - odezwał się pan Ashworth - że mógł się wydarzyć jakiś wypadek.

- Zastanawiałem się już nad tym - rzekł markiz. - Lecz musi się tu kryć jakaś inna przyczyna. - Nie zostawiłaby domu bez opieki. Ona to zrobiła rozmyślnie.

- W takim przypadku dama ta chce się ukryć przed panem, milordzie.

- Tego właśnie najbardziej się obawiam, Ashworth. Ale gdzie, na miły Bóg, mogła się podziać?

- Nie zna pan, milordzie, jej poprzedniego adresu?

- Nie mam pojęcia - odparł markiz. - Wiem tylko, że miała bardzo mało pieniędzy.

Pan Ashworth bardzo się zdumiał, słysząc to stwierdzenie. Jeśli kobieta, o której mówili, nie miała pieniędzy, znaczyło to, że markiz nie wspierał jej finansowo. Było to zupełnie niezwykle z jego strony, ponieważ zawsze aż do przesady był hojny. Odniósł więc wrażenie, że dama, dla której markiz zakupił dom, była inna od tych, którymi interesował się dotychczas. Zachowanie markiza wobec niej też było zupełnie odmienne.

Sekretarz często kupował domy dla kolejnych kochanek markiza, lecz nie były nigdy tak drogie jak dom lady

Bletchley. Nigdy też markiz nie interesował się sprawą tak drobiazgowo i nie wkładał tyle własnego wysiłku. Poprzednio zdawał się całkowicie na swego sekretarza lub swoją wybrankę i tylko interesował się tym, żeby w domu nie zabrakło wina, które lubił.

„Tym razem jest zupełnie inaczej - pomyślał pan Ashworth. - Jego lordowska mość wydaje się bardzo zaangażowany.”

- Zastanawiam się, czy nie powinienem zatrudnić detektywa - rzekł w końcu markiz.

- To niezły pomysł, milordzie.

- Nie chciałbym jej przestraszyć, ale nie widzę innego wyjścia. - Wykonał ręką bezradny gest, a potem dodał: - W Londynie musi być wiele pensjonatów i hotelików. Nie zdołam ich wszystkich przeszukać. Nie potrafię się nawet domyślić, gdzie mogłyby się ukryć dwie kobiety.

- Nie sądzi pan, milordzie - odezwał się pan Ashworth po chwili wahania - że dama ta mogła się rozmyślić. Może wysłała do pana list i będzie pan mógł przedstawić jej nowe warunki.

Sekretarz pomyślał, że jeśli nawet wybranka markiza postanowiła się przed nim ukryć, to mogła przecież żałować swego postępu i zapragnąć znów znaleźć się w jego ramionach.

- Nie sądzę, żeby zmieniła zdanie - powiedział markiz tonem, który był dla sekretarza zupełnie niepojęty.

- Ośmielam się zasugerować panu, milordzie - powiedział sekretarz po chwili milczenia - żeby posłać po detektywa. Znam takiego, jest zręczny i dyskretny. Zatrudniało go wiele znanych osób. Jestem przekonany, że wszystko, co mu pan powie, pozostanie w całkowitej dyskrecji.

- Niech więc pan go sprowadzi - rzekł markiz nie wykazując wielkiej nadziei.

- Przypominam jego lordowskiej mości, że jest pan umówiony dziś na kolację do Carlton House - odezwał się pan Ashworth. - Przyjął pan zaproszenie tydzień temu, a ponieważ nie kazał mi go pan odwołać, jest aktualne.

- Zupełnie o tym zapomniałem - rzekł markiz.

Pomyślał, że nie ma dziś ochoty na żadną proszoną kolację i że musi wymyślić jakieś usprawiedliwienie. Potem przyszło mu do głowy, że gdyby jednak poszedł mógłby zobaczyć portret Cyrilli rzekomego Lochnera. Przypomniał też sobie, że księżę pozwolił mu zabrać van Dycka. Miał go wziąć następnego dnia, kiedy bawił w Carlton House, lecz poznał Cyrillę i nie tylko o wszystkim zapomniał, ale obraz był mu niepotrzebny, gdyż mógł trzymać w objęciach żywą Madonnę.

- Wybiore się do Carlton House - powiedział wstając z miejsca. - Niech ten detektyw przyjdzie do mnie jutro rano zaraz po śniadaniu.

- Dobrze, milordzie. Załatwię wszystko jak należy.

- Bóg raczy wiedzieć jak należy postąpić w tej sprawie - powiedział markiz opuszczając pokój.

Idąc na górę pomyślał, że dzisiejszy wieczór mógł spędzić razem z Cyrillą w jej nowym domu. Marzył o zbliżeniu i wierzył, że byłoby to najcudowniejsze przeżycie.

Teraz wszystko musiał rozpocząć od nowa. Posiadał tylko portret, któremu mógł się przypatrywać. Chwilami jej odnalezienie wydawało mu się przywidzeniem. Miał wrażenie, że naprawdę umarła kilkaset lat temu.

- Cyrillo! Cyrillo! - wzdychał. Wszedłszy do sypialni ujrzał niedokończony

obraz Fransa Wyntacka, który Cyrilla ofiarowała mu w prezencie. Nie był tak doskonały jak rzekomy Lochner, lecz była to ona, jej oczy, jej włosy, jej usta. Markiz przypatrywał się obrazowi przez jakiś czas.

- Choćbym miał cię szukać przez całe życie, odnajdę cię -
powiedział. - Nikt i nic mi nie przeszkodzi, żebyś została moją
żoną! Przysięgam ci to!

Rozdział 6

Powóz przechylił się na bok i markiz powiedział ze złością:

- Te drogi są okropne!

- Zawsze tak się dzieje, gdy skręci się z drogi głównej na boczną - odparł książę Walii. - Byłoby jeszcze gorzej, gdyby padał deszcz.

Markiz spojrział w niebo.

- Nie trzeba będzie długo na to czekać - zauważył pesymistycznie. - Już zbierają się chmury.

Książę nic nie odpowiedział. Był zmęczony towarzystwem markiza, który nie starał się nawet ukryć przygnębienia. Toteż książę zaczął żałować, że wziął na siebie rolę miłosiernego samarytanina i namówił przyjaciela do wyjazdu na wieś.

- Przez ostatni miesiąc nie przyjąłeś, Virgo, żadnego z moich zaproszeń - rzekł książę. - Podobno spędzasz czas objeżdżając przedmieścia Londynu w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Ponieważ markiz milczał jak zakłęty, książę mówił dalej: - Schudłeś okropnie i jeśli tak będzie dalej, ucierpi na tym twój wygląd.

Książę w istocie w to nie wierzył. Niemniej jednak markiz rzeczywiście stracił na wadze i wyglądał, jakby męczyła go bezsenność. Książę i grono przyjaciół markiza byli tym wszystkim bardzo zaskoczeni i postanowili dowiedzieć się, co się kryje pod - jak to określano - tym dziwacznym zachowaniem.

- Chciałbym, żebyś pojechał ze mną do lorda Searle do Hampshire - powiedział głośno książę. - Słyszałeś chyba, że sprzedaje swoje konie wyścigowe.

- Sprzedaje konie? - zapytał markiz i książę ucieszył się, że zdołał wzbudzić zainteresowanie przyjaciela.

- Długi karciane - wyjaśnił książę. - W ubiegłym roku spuścił majątek, a teraz przyszła kolej na konie.

Markiz istotnie zainteresował się sprawą, ponieważ wiedział, że lord Searle posiada znakomite wierzchowce, które przychodziły pierwsze do mety, co mu przyniosło spory dochód.

- Zamierzam - mówił dalej książę - wybrać dla siebie najlepsze, zanim zostaną wystawione na sprzedaż.

- To sprytne ze strony waszej królewskiej mości - zauważył markiz. - Jak się udało to załatwić?

Książę uśmiechnął się.

- Nie mogę ci wyjawić wszystkich moich sekretów. Uważam cię jednak za najlepszego znawcę koni w kraju i dlatego proszę cię, a nie rozkazuję, żebyś pojechał ze mną do Hampshire jutro rano.

Markizowi nie pozostawało nic innego jak zgodzić się. Myśl, że mógłby zakupić dla siebie również kilka koni wprawiła go w lepszy nastrój, bo w ciągu ostatnich czterech tygodni znajdował się w stanie najgłębszej depresji. Jak się wyraził książę, tracił czas na objeżdżanie ulic na peryferiach Londynu, gdyż miał nadzieję spotkać gdzieś Cyrillę lub Hannę. Gdziekolwiek by się ukryły, musiały przecież czasem wychodzić na ulicę, robić zakupy w tanich sklepikach. Domyślał się, że zapewne bardzo brakowało im pieniędzy.

Wynajęty detektyw spenetrował wiele sklepów i targów, gdzie zaopatrywano się w żywność, lecz nigdzie nie natrafił na ślad Hanny, której dokładny rysopis miał przy sobie, i markiz spędzając bezsenne noce przy Berkeley Square rozmyślał nad tym, że utracił Cyrillę z powodu własnej głupoty.

- Jak mogłem okazać się takim durniem - mówił do siebie. - Czemu nie starałem się poznać jej lepiej? Jak to się stało, że nie domyśliłem się, że jest inna od znanych mi kobiet?

Lecz wyrzuty, jakie sobie czynił, nie pomagały mu jej odnaleźć. Niemal co rano jeździł do Islington, obchodził w kółko mały podmiejski domek. Potem przywiązywał konia, wchodził do środka tylnymi drzwiami i rozglądał się badawczo, czy ktoś tu jeszcze był oprócz niego. Miał nadzieję, że Cyrilla wróci po swoje suknie, lecz wciąż wisiały w szafie i mógłby przysiąc, że nikt ich nawet nie dotknął.

Czasami odnosił wrażenie, że wszystkie wydarzenia z nią związane po prostu mu się przyśniły. Ponieważ przed oczami miał wciąż jej obraz, dochodził do przekonania, że musiał ulec złudzeniu, że ją w ogóle spotkał. Jednakże jej pocałunek był tak realny, że i za sto lat nie byłby w stanie zapomnieć ekstazy, jaką wówczas przeżył.

Cierpiąc okrutne męczarnie markiz nie zdawał sobie sprawy, że pan Ashworth i wszyscy domownicy martwią się o niego. Wiedzieli, że ich pan szuka dziewczyny, której portret stoi u niego w sypialni, toteż wychodząc rozglądali się dokoła z nadzieją, że może im uda się ją odnaleźć.

Ksiązę Walii pragnąc dopomóc przyjacielowi w jakiś konkretny sposób, a nie tylko ograniczać się do plotkowania na temat jego dziwaczego zachowania, postanowił porozmawiać z nim w cztery oczy. Nie było to wcale łatwe, markiz bowiem nie przyjmował żadnych zaproszeń, toteż ksiązę nie mógł ukryć uczucia triumfu, kiedy zobaczył jego powóz przed Carlton House.

- Lando z bagażami pojechało przed nami - powiedział. - Nasi lokaje znajdą tam wszystko, co potrzeba. Nie zapominajmy też o tym, że Seale słynie z dobrze zaopatrzonej piwnicy!

- Ile koni wasza wysokość zamierza zakupić? - zapytał markiz, kiedy ruszyli.

Przygotowany był na odpowiedź: „Zależy, ile pożyczysz mi pieniędzy”, ponieważ markiz nie wątpił, że będzie musiał

zapłacić za królewski zakup. I był na to przygotowany. Chciał również kupić dla siebie kilka koni ze stajni lorda Seale. To właśnie z ich powodu zdecydował się na opuszczenie Londynu na dwa dni i zaniechanie na ten czas poszukiwania Cyrilli.

Na początku tygodnia zaangażował jeszcze dwóch dodatkowych detektywów. Poleciał też pan Ashworthowi, żeby posłał do niego posłańca do domu lorda Seale, gdyby wydarzyło się coś ważnego.

- Chciałbym, żeby tak było, milordzie - odparł pan Ashworth, który pomyślał w duchu, że nie należy się spodziewać w tej sprawie pomyślnych widoków.

- Masz rację - odparł książę Walii, gdy znaleźli się w drodze. - Zaraz będzie padać. Szkoda że twój powóz jest odkryty.

- Nigdy mi to nie przeszkadzało - odparł markiz. - Za to jest lżejszy i szybszy.

- Cóż z tego, wcale mnie to nie cieszy, że będę wyglądał jak zmoknięty pies - rzekł książę z rozdrażnieniem.

Markiz czując na twarzy ciężkie krople popędził konie batem. Pomknęły chyżo, lecz właśnie był zakręt i z przeciwnej strony nadjeżdżał chłopski wóz, którego woźnica zapewne się zdrzemnął, bo jechał środkiem drogi.

- Uważaj! - zawołał książę zupełnie niepotrzebnie, bo markiz wymanewrował zręcznie swój zaprzęg, aby uniknąć czołowego zderzenia. Niestety koło powozu zawadziło o wóz. Chłop wrzasnął, a markiz zatrzymał spokojnie swoje konie.

- Co tu się dzieje? - krzyczał chłop.

- Lepiej by było, człowieku, gdybyś nie jechał środkiem!
- odezwał się markiz.

- Skąd mogłem wiedzieć, że z za zakrętu wypadnie ktoś niczym burza? - jęknął chłopina.

Stajenny markiza zajął miejsce przy koniach, a on sam wyskoczył z powozu, żeby zbadać uszkodzenie. Koło było wygięte, nie za mocno, ale potrzebny był kowal, żeby je naprawić.

- Co się stało? Czy możemy jechać dalej? - zapytał książę.

- Gdzie tu jest najbliższy kowal? - zapytał chłop markiz.

Chłop zastanowił się przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Chyba na zamku.

- Na jakim zamku? - dopytywał się markiz.

Chłop wskazał brudnym palcem w stronę drzew. Oczy markiza podążyły w tym samym kierunku i dopiero teraz dostrzegł szczyt wieży i powiewającą na niej chorągiew.

- Kto tam mieszka? - zapytał.

- Jego książęca mość.

- Jak się nazywa? - pytał markiz.

- To jest zamek Holm, a mieszka tam książę Holmbury - odpowiedział chłop. - To jego wóz został potrącony przed chwilą.

Markiz wyjął gwineę i rzucił ją chłopu, który zręcznie ją złapał, nie dowierzając takiej hojności. Sprawdzał zębami, czy moneta jest prawdziwa, a tymczasem markiz wsiadł do powozu.

- Myślę, że zajedziemy do zamku - odezwał się książę Walii, kiedy konie powoli ruszyły.

- Nie sądzę, żeby był tu w okolicy jakiś inny kowal - odrzekł markiz.

- Książę Holmbury nie lubi mnie - odezwał się książę Walii. - Zawsze w sprawie moich długów trzymał stronę mojego ojca i mojej matki. Domyślam się, jakie ma o mnie zdanie.

Markiz uśmiechnął się kwaśno.

- O mnie też nie ma najlepszego zdania - rzekł. - Ostentacyjnie zerwał ze mną stosunki po tym, jak usiłowałem romansować z jedną z jego kuzynek. Była bardzo nudna, więc szybko się z nią rozstałem. Księżę roześmiał się.

- Nie możemy zatem oczekiwać gorącego przyjęcia - rzekł. - Ile czasu zajmie naprawa?

- Około dwóch godzin - odrzekł markiz. Księżę spojrział w zachmurzone niebo.

- Wolę już siedzieć z tym starym diabłem niż moknąć na deszczu. Mam nadzieję, że nie odmówi nam kieliszka wina.

Markiz nic nie odpowiedział. Nie uświadamiał sobie nawet, że los za chwilę spleta mu figła.

Cyrilla właśnie kończyła grę w szachy z ojcem.

- Jesteś dla mnie zbyt dobrym partnerem - rzekła. - Lecz będę próbowała z tobą wygrać. To fascynująca gra wymagająca wiele sprytu i inteligencji.

- To prawda - odrzekł księżę Holmbury. - Zawsze mnie dziwi, że mężczyźni tracą czas przy kartach Ucząc na coś takiego jak szczęście w grach hazardowych.

- To idiotyczne, zgadzam się z tobą - rzekła Cyrilla.

Odstawiając szachy na bok zastanawiała się, czy markiz podnieca się hazardem. Wydawało jej się to niemożliwe. Jednocześnie pomyślała, że tak niewiele o nim wie. Zaledwie tyle, że go kocha i wciąż o nim myśli.

- Będzie chyba padać - powiedziała spoglądając w okno. - Szkoda, bo moglibyśmy pójść do ogrodu popatrzeć na złote rybki w stawie.

- Obejrzymy je jutro - odrzekł księżę Holmbury. - Możemy przecież udać się do oranżerii. Zamówiłem nowe orchidee, które z pewnością ci się spodobają.

- Och, papo, to wspaniale! - ucieszyła się Cyrilla. - Czy są tam też kwitnące drzewka pomarańczowe. Już zapomniałam, jak wyglądają

O istnieniu wielu rzeczy na zamku zapomniała w ciągu tych lat. Nawet po upływie miesiąca odkrywała wciąż nowe miejsca i rozmawiała o nich z ojcem. Starła się ukryć przed nim smutek, który jej nie opuszczał, i zmuszała się do uśmiechu. A on myślał, że jest szczęśliwa, i tylko Hanna domyślała się, że jej panienka cierpi.

- Zamierzam kupić do oranżerii jeszcze inne rośliny - zaczął książę - tylko musisz mi podpowiedzieć ...

Drzwi się nagle otworzyły i Burton zaanonsował:

- Jego królewska mość, książę Walii!

Książę Holmbury był tak zdumiony, że początkowo nie ruszył się z miejsca. Gdy wstał, książę Walii cały w uśmiechach już szedł w jego stronę.

- Proszę mi wybaczyć to najście - mówił ściskając jego dłoń - lecz przydarzył nam się wypadek w pobliżu pańskiego zamku. Złamało się koło naszego powozu i jeśli to możliwe, proszę o gościnę na godzinę lub dwie.

Książę Holmbury skinął poważnie głową.

- Jego królewska mość jest zawsze miłym gościem - rzekł. - Mam kowala na zamku, który z pewnością naprawi szkodę.

- Tak też sobie myślałem - odezwał się książę Walii. - Sądzę, że właśnie już sprawdza uszkodzenie.

- Czy wasza królewska mość życzy sobie coś do picia? - zapytał gospodarz.

- Dziękuję, bardzo dziękuję! - odrzekł książę patrząc z zaciekawieniem w stronę Cyrilli stojącej obok ojca.

Cyrilla pomyślała, że tak właśnie wyobrażała sobie księcia Walii. Błysk w jego oczach zdradzał, że zdaje sobie sprawę, że wprowadził jej ojca w konsternację swym nagłym przybyciem.

- Pragnę przedstawić waszej wysokości moją córkę, lady Cyrillę Holm - rzekł poważnym tonem.

- Jestem zachwycony mogąc panią poznać! - Księżę skłonił się, a w jego spojrzeniu był podziw, jaki żywił dla każdej pięknej kobiety.

Gdy Cyrilla składała przed nim ukłon, nagle zawołał:

- Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali?

- Nie... wasza królewska mość - odrzekła Cyrilla, czerwieniąc się, gdyż zdawała sobie sprawę, skąd księżę zna jej twarz.

- Jestem pewien, że panią gdzieś widziałem. Nigdy nie zapominał raz widzianych twarzy - dodał.

- Markiz Fane! - zaanonsował Burton.

Księżę Holmbury spojrział zdumiony na księcia Walii, tymczasem Cyrilla, gdy tylko rzuciła okiem ku drzwiom, zamieniła się w słup soli. Markiz, nieświadomy jej obecności, wszedł do pokoju zastanawiając się cały czas, jak go przyjmie księżę Holmbury zdając sobie sprawę, że naprawa powozu potrwa dłużej niż przewidywał. Gospodarz spoglądał na niego wrogo, natomiast zauważył, że księżę Walii nie spuszcza wzroku z postaci stojącej obok gospodarza. Rzucił okiem w tę stronę i oniemiał: Stała przed nim cała i zdrowa. Nie musiał jej już więcej szukać!

- Cyrillo! - powiedział nieswoim głosem.

Twarz księcia Holmbury zachmurzyła się, natomiast księżę Walii patrzył to na markiza, to na Cyrillę.

- Teraz już wiem, kogo mi ona przypomina - zawołał. - Wiem także, kogo poszukiwałeś tak pilnie. To jest Madonna z obrazu Lochnera!

Głos księcia Walii przywrócił markiza do rzeczywistości. Podszedł do Cyrilli, ujął ją za rękę i powiedział głosem drżącym z emocji:

- Nareszcie cię odnalazłem! Jak mogłaś tak mnie zostawić? Jak mogłaś postąpić tak okrutnie? Byłem zrozpaczony, myślałem, że cię nigdy nie zobaczę!

Cyrilla spojrzała w jego oczy czując, że wraca do życia. Nie była już samotna i nieszczęśliwa, ponieważ on był z nią. Znow się odnaleźli i ich oczy bez słów wyznawały miłość. Tę sielankę przerwał książę Holmbury.

- Rozumiem, Fane - rzekł - że już kiedyś spotkałeś moją córkę i potraktowałeś ją w sposób niegodny dżentelmena.

Markiz patrzył błędnym wzrokiem to na córkę, to na ojca. Dopiero teraz zrozumiał, co książę do niego mówi.

- Pragnąłbym wyjaśnić, wasza wysokość - zacznaj z trudem.

- Pańskie wyjaśnienia są zbędne - przerwał mu książę ostro. - Cyrillo! Czy byłabyś tak dobra powiedzieć Burtonowi, żeby podał wino jego królewskiej mości, a potem możesz udać się do swego pokoju.

- Dobrze, papo! - odrzekła Cyrilla po chwili wahania.

- Nie, nie możesz mnie tak zostawić! - zawołał markiz chwytając ją za rękę.

Spojrzała na niego szybko, wyrwała rękę i posłusznie wyszła z pokoju. Obawiając się, że markiz podąży za nią, książę Holmbury odezwał się:

- Zechcą panowie usiąść. Może mi pan wyjawi, Fane, co powiedział kowal na temat powozu.

Oczy markiza podążyły za odchodzącą Cyrillą, która doszła do drzwi, otworzyła je i zamknęła za sobą obejrzawszy się.

- Powozu? - powiedział markiz z roztargnieniem siadając naprzeciw księcia Holmbury. - Ach, tak. Koło jest złamane i naprawa potrwa kilka godzin.

- Mam nadzieję - odezwał się książę Walii - że jego książęca mość nie potępi nas za nadużywanie jego gościnności:

- Oczywiście że nie, wasza królewska mość - odparł książę Holmbury. - Czy mógłbym zaoferować coś do jedzenia?

- Zatrzymaliśmy się na obiad po drodze - rzekł książę Walii - ale nie był to pożywny posiłek, toteż chętnie coś przekąsimy przed odjazdem.

- Zaraz wydam odpowiednie polecenia - odparł książę Holmbury. - Spojrzał w stronę drzwi, które się właśnie otwały. - Otóż i wino! Mam nadzieję, że będzie smakowało, zważywszy że wasza królewska mość jest w tej dziedzinie koneserem.

Nie zabrzmiało to jak szczerzy komplement i tak zostało przyjęte.

- Wasza książęca mość jest bardzo uprzejmy - odrzekł książę Walii bez entuzjazmu.

Burton w towarzystwie lokaja niosącego wino na srebrnej tacy zbliżył się do księcia Walii, a tymczasem książę Holmbury złożywszy wymagany etykietą ukłon wyszedł z pokoju. Gdy znalazł się w holu, ujrzał Cyrillę stojącą u podnóża schodów i pomyślał, że córka zastanawia się, czy wbrew jego zakazowi nie wrócić do salonu. Cyrilla widząc ojca podbiegła ku niemu.

- Papo ... proszę ... pozwól mi ... - rzekła. - Muszę koniecznie pomówić z markizem ... w cztery oczy ... tylko chwileczkę. Pozwól mi, papo.

Książę potrząsnął głową.

- Nie ma powodu, żebyś była jeszcze bardziej nieszczęśliwa, niż jesteś - odrzekł, a potem spojrzawszy na nią dodał: - Nie jestem ślepy i widzę wszystko. Wiem, ile wycierpiałaś i nic tu nie pomogą rozmowy. Tylko twoje pełne godności zachowanie może wpłynąć na postawę tego człowieka. Czy masz zamiar rzeczywiście wierzyć we wszystkie jego tłumaczenia?

Ojciec powiedział jasno i wyraźnie to wszystko, o czym sama myślała.

- Masz rację, papo - rzekła po chwili zastanowienia i zaczęła wchodzić po schodach.

Książę powiódł za nią wzrokiem, westchnął i skierował się do biura zarządcy. Zamierzał podjąć niespodziewanych gości trunkami i posiłkiem, a potem wyprawić jak najszybciej w dalszą drogę. Spotkawszy po drodze lokaja posłał go na poszukiwanie zarządcy majątku, gdyż chciał go poprosić o przyspieszenie naprawy.

Cyrilla tymczasem szła powoli po schodach, jakby dźwigała ciężkie brzemie. Gdy się znalazła na górze usłyszała, że na dole otwierają się drzwi i spojrzała w tym kierunku. Ujrzała markiza, który wyszedłszy do holu skierował się w stronę drzwi wejściowych, gdzie stało dwóch lokajów.

- Gdzie jest lady Cyrilla? - usłyszała jego pytanie.

Lokaj, do którego się zwrócił, spojrzał w jej stronę, zanim odpowiedział, i markiz, podążając za jego wzrokiem, ujrzał ją także. Wbiegł na schody błyskawicznie.

- Muszę z tobą porozmawiać! Muszę koniecznie! - powiedział. - Gdzie moglibyśmy porozmawiać?

W jego głosie była niecierpliwość i Cyrilla otworzyła drzwi saloniku sąsiadującego z jej sypialnią. W pokoju tym na niewielkim stelażu przy oknie stał portret jej matki, więc markiz zorientował się, że pokój należy do niej. Znajdowało się w nim ponadto mnóstwo kwiatów. Markiz wszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Moja ukochana! Moja słodka! Odnalazłem cię w chwili, kiedy już myślałem, że cię utraciłem na zawsze!

W tonie jego głosu było coś, czego nigdy przedtem nie słyszała. Spojrzała w jego oczy i poczuła się zgubiona. Jego ramiona objęły ją i począł ją całować namiętnie i gwałtownie. Nie była w stanie myśleć, czuła tylko, że markiz przenosi ją w

inny świat, w którym już kiedyś się znalazła, gdy całował ją pierwszy raz. Ofiarowywała mu swoje serce, które było jak szalone. Zdawało jej się, że stanowią jedność i nikt nie może ich rozdzielić.

- Kocham cię! - chciała powiedzieć Cyrilla, lecz markiz ją uprzedził.

- Kocham cię! Uwielbiam! - mówił. - Kiedy możemy się pobrać?

To właśnie chciała od niego usłyszeć, ale nie to było najważniejsze. Kochał ją i ona kochała jego. Nawet ślub nie mógłby bardziej zbliżyć ich do siebie. Markiz znów począł ją całować.

- Moja kochana! Moja śliczna! Moja „Madonno wśród lilii”! Jesteś moja na zawsze! - mówił nieskładnie. - Szukałem cię w całym Londynie! Przeszukałem każdy zaułek, każdą ulicę! A ty tymczasem byłaś tutaj! Co za szczęście, że przypadek przywiódł mnie tutaj!

- To los sprawia, że się odnajdujemy - wyszeptała Cyrilla.

- Już cię nigdy nie utracę - rzekł markiz. - Pobierzmy się zaraz. Mam załatwione specjalne pozwolenie na wypadek, gdybym cię odnalazł. Zanim obrączka nie znajdzie się na twoim palcu, nie pozwolę ci się oddalić! - Domyślił się z wyrazu jej oczu, że tego właśnie pragnęła. - Tak wiele ci muszę wyjaśnić - mówił. - Za tyle spraw przeprosić, lecz to teraz nieistotne. Jedno co się liczy, to moja miłość do ciebie. Gdy się pobierzemy, będziemy szczęśliwi jak wówczas, kiedy się poznaliśmy.

- Kocham cię - wyszeptała Cyrilla - ale nie wiem, co papa powie na to.

Gdy to mówiła drzwi się otworzyły i stanął w nich książę Holmbury. - Wyraz jego twarzy nie wróżył nic dobrego, więc Cyrilla instynktownie przysunęła się do markiza, jakby w nim szukając pomocy.

- Twoje zachowanie, Fane, wcale mnie nie dziwi! - rzekł książę. - Tego właśnie mogłem się po tobie spodziewać!

- Wasza książęca mość nic nie rozumie - rzekł markiz. - Chcę prosić o rękę Cyrilli. Kochamy się i pragniemy się pobrać.

- Więc teraz proponujesz małżeństwo? - odezwał się książę. - Ale gdy nie wiedziałeś, że jest moją córką, nie mogłeś się na to zdecydować.

Markiz stanął wyprostowany.

- To bardzo trudno wytłumaczyć, wasza wysokość - powiedział - choć będę próbował. Nie wiem, co Cyrilla mówiła na temat naszego spotkania. Nie mieliśmy wówczas czasu, żeby sobie wyznać więcej nad to, że się kochamy. - W oczach księcia Holmbury było powątpiewanie. - Proszę mi wierzyć, wasza wysokość, że to prawda. Dopiero kiedy Cyrilla uciekła ode mnie, uświadomiłem sobie, że byłem głupcem, iż nie domyśliłem się, że ona pragnie mnie poślubić. Gdy zacząłem głębiej się nad tym zastanawiać, stwierdziłem, że dla mnie też byłoby to największe szczęście.

Mówiąc to markiz czuł, że jego wyjaśnienia brzmią głupio i nieprzekonująco.

- Łatwo tak teraz powiedzieć - zauważył książę Holmbury. - Faktem pozostaje jednak, że nie zaproponował pan mojej córce małżeństwa. Proszę zapamiętać, że nie akceptuję pana jako mojego zięcia.

- Och, papo! Dlaczego tak mówisz! - zawołała Cyrilla boleśnie.

- Bo mam swoje powody - rzekł książę. - Nie możecie się pobrać bez mojego pozwolenia, a ja go nie dam pod żadnym pozorem.

Mówił powoli, aby oboje zrozumieli powagę jego słów.

- Wasza wysokość nie daje mi nawet szans, żebym się wytłumaczył - zaczął markiz.

- Tłumaczenia nic tu nie zmieniają - przerwał księżę. - Nie pochwalam twojego stylu życia, Fane, i nigdy nie pochwalałem. To, że prosisz o rękę mojej córki, nie zmienia mojego zdania o tobie.

- Ale to nie jest w porządku, papo - próbowała się wtrącić Cyrilla.

- W porządku czy nie w porządku, to nieważne - odrzekł księżę. - Jesteś moją córką i ja zadecyduję, za kogo wyjdiesz za mąż. - Dostrzegł rozpacz w twarzy Cyrilli i dodał mniej agresywnym tonem: - W ciągu ostatnich ośmiu lat miałaś okazję przekonać się, co się dzieje, kiedy kobieta próbuje żyć wbrew konwenansom. Markiz Fane nie szanuje konwenansów. Nie będziesz z nim szczęśliwa, a ja nie zgodzę się, żebyś z nim żyła na sposób, do jakiego przywykła, czy to jako jego żona, czy kochanka. - Spojrzał groźnie w stronę markiza. - Nie mam nic więcej do dodania w tej sprawie i proszę pana, milordzie, żeby pan opuścił mój dom. Może pan poczekać przy stajni, aż powóz zostanie naprawiony. Myślę, że nie potrwa to już długo. Proszę podjechać po jego królewską mość pod frontowe drzwi.

W innej sytuacji markiz nie zniósłby takiego despektu, lecz spojrzał tylko z rozpaczą na Cyrillę.

- Jedno tylko mogę powiedzieć - rzekł wzruszonym głosem - że cię kocham i będę cię kochał aż do śmierci.

Łzy potoczyły się z oczu Cyrilli i nie była w stanie mu odpowiedzieć. Zacisnęła tylko dłonie, a markiz z godnością odwrócił się ku drzwiom i wyszedł. Po chwili podążył za nim księżę. Cyrilla osunęła się na ziemię i jedynym jej pragnieniem było umrzeć.

Przestało padać, koło zostało naprawione i markiz podjechał powozem pod główne wejście do zamku. Powiadomiono o tym księcia Walii i wkrótce pojawił się w towarzystwie gospodarza.

- Pragnę podziękować waszej książęcej mości za wspaniałe przyjęcie - odezwał się książę Walii. - Mam nadzieję, że pewnego dnia będę mógł zrewanżować się za gościnność.

Książę Holmbury uklonił się, a potem przyglądał się, jak dwóch lokajów pomaga dostojnemu gościowi wsiąść do powozu. Gdy ruszyli markiz patrzył przed siebie i nie raczył uchylić kapelusza, co uczynił książę Walii. Ujechali niewielki kawałek i książę zapytał:

- Co u licha się stało? Nie pojawiłeś się w salonie, a książę Holmbury powiadomił mnie, że czekasz na zewnątrz.

- Ponieważ tego właśnie sobie życzył - odrzekł markiz. - Jeśli wasza królewska mość chce znać prawdę, to wyprosił mnie z domu!

- Z powodu córki! Nie winię cię za to. Ona jest piękniejsza w rzeczywistości niż na obrazie. - Markiz milczał, a książę dodał: - Teraz obydwaj wiemy, że ten obraz to falsyfikat. Ale to doskonała robota! Warta tych pieniędzy, które za niego zapłaciłem. - Przerwał, uśmiechnął się, a potem dodał: - Które ty zapłaciłeś!

- Ten obraz się nie liczy - rzekł markiz.

- Ale dziewczyna tak - dodał książę. - Co zamierzasz zrobić w tej sprawie?

- A co mogę zrobić? Książę nie zgadza się, żebym się z nią ożenił.

Książę Walii uniósł znacząco brwi.

- W końcu złapała cię, Virgo! I wcale mnie to nie dziwi. Ona jest piękna, niezwykle urocza!

- Co ja mam począć? - zapytał markiz.

- Ucieknij z nią razem - zaproponował książę.

- Ona nie zechce - rzekł markiz. - Teraz dopiero zaczynam rozumieć, czemu mieszkała w tym skromnym domku na przedmieściu.

- To właśnie tam ją znalazłeś? - zapytał księżę. - Co tam robiła?

- Przypominam sobie teraz, jak mówiono przed laty - tłumaczył markiz - że księżna Holmbury odeszła od męża i mieszka w Irlandii.

- Uważasz, że zamiast w Irlandii zamieszkała w Islington? - zapytał księżę.

- Z pewnym artystą, z którym uciekła - wyjaśnił markiz.

Księżę pojał w lot, o co chodzi.

- I on namalował kopię mając tę dziewczynę jako modelkę - wykrzyknął. - Co za historia! Zupełnie jak w powieści!

- Proszę tylko, dla dobra Cyrilli, nie powtarzać tego nikomu - rzekł markiz.

- Jest to wprawdzie historia godna rozgłosu, ale skoro mnie o to prosisz, będę milczał.

- Chciałbym prosić waszą królewską mość o pomoc. Cyrilla jest jedyną kobietą, którą pragnąłbym poślubić. Jeśli księżę Holmbury odmówi mi pozwolenia, co mam uczynić?

Księżę Walii zastanowił się przez chwilę.

- Szczerze mówiąc, niewiele możesz zrobić. Gdybyś porwał jego nieletnią córkę, mógłbyś zostać osądzony i skazany. Wszyscy dobrze wiedzą, jaką posiadasz reputację. Nie przypuszczam, żeby Holmbury chciał się z tobą pojedynkować.

- To samo sobie pomyślałem - wyszeptał markiz.

- Czy sądzisz, że lady Cyrilla mogłaby wpłynąć na ojca?

- Wątpię. Nie miałem czasu jej wytłumaczyć mojego postępowania.

- Wpadłeś w niezłą kabałę - zauważył księżę. - Ale musi być jednak jakieś wyjście z tej całej sytuacji. Ona jest taka piękna, że potrafi zawrócić w głowie każdemu mężczyźnie, nie tylko tobie!

- To prawda - wyznał markiz.

Jechali dalej i kiedy ujrzeni dom lorda Searle, markiz odezwał się, jakby się nagle zdecydował:

- Chciałbym coś wyznać waszej królewskiej mości.

- Cóż takiego? - zainteresował się książę.

- Nie zamierzam wracać do Londynu, kiedy załatwimy sprawę tych koni.

Książę spojrział na niego zdumiony.

- A co chcesz zrobić?

- Zostanę w pobliżu zamku Holm - odrzekł markiz. - Może uda mi się czasem zobaczyć Cyrillę. Może przekupię służbę i przekażę jej liścik. Może nawet podczas konnej przejażdżki zdołam z nią pomówić. Cudem ją odnalazłem i nie mogę znów jej utracić. - Westchnął głęboko i dodał: - Czy ona zechce się ze mną widzieć, czy nie, będę przy niej niezależnie od okoliczności.

Wasza wysokość, zupełnie nie wiem, co się dzieje z lady Cyrillą - powiedziała Hanna cedząc słowa.

- Zauważyłem, że ostatnio bardzo mało je - odrzekł książę.

- Mało to słabe określenie! - wtrąciła Hanna. - Czy wasza książęca mość zdaje sobie sprawę, że chudnie w oczach i muszę każdego niemal dnia zwięzać jej suknie. Całe noce płacze, a zdarza jej się to nawet w dzień.

Książę przeszedł się po bibliotece, zanim zdobył się na odpowiedź.

- Nie spodziewaj się, że zmienię zdanie. Markiz Fane zachował się wobec lady Cyrilli, niegodnie, kiedy nie wiedział jeszcze, że jest moją córką.

- On był dla nas bardzo dobry, proszę waszej wysokości, załatwił pogrzeb, pomagał nam, jak mógł. Wygląda na bardzo zakochanego.

- On nie jest właściwym mężem dla tak młodej osoby jak lady Cyrilla - oświadczył książę.

- Ale jeśli sprawy będą się tak toczyć dalej, to ona za nikogo nie wyjdzie! - rzekła Hanna. - Mam nadzieję, że wasza książęca mość wie, co robi.

Ukłoniła się i nie czekając, co powie książę, opuściła bibliotekę. Idąc na górę zastanawiała się, czy książę zacznie dociekać, co powiedziała. Tak dalej być nie mogło, ale Hanna była bezradna. Weszła do saloniku przylegającego do sypialni Cyrilli i zastała ją siedzącą przy oknie, zapatrzoną w dal. Gdy opiekunka stanęła przy niej, dziewczyna pośpiesznie złapała książkę leżącą na kolanach udając, że czyta, lecz Hanna wiedziała, że to tylko pozór i że nie przeczytała ani jednej strony.

- Ojciec panienki jest w bibliotece. Czemu panienka do niego nie pójdzie?

- Mogę to zrobić, jeśli chce być ze mną - odparła Cyrilla.

Wstała z miejsca odkładając książkę. To jej posłuszeństwo w ostatnich czasach bardzo martwiło Hannę. Cyrilla była zupełnie bezwolna, jakby dusza z niej uleciała. Robiła wrażenie kukielki, którą się pociąga za sznurki. Nic jej nie cieszyło i nie interesowało.

- To wszystko przez tego człowieka! - wyszeptała do siebie Hanna opuściwszy sypialnię Cyrilli.

„Ten człowiek” jechał w tej chwili zapyłoną drogą graniczącą z parkiem książęcej posiadłości. Przez niski mur mógł między drzewami ujrzeć zamek robiący w promieniach słońca imponujące wrażenie. Stanowił on dla markiza wyzwanie, choć jednocześnie czuł się bezsilny wobec jego ogromu. Nikt w Londynie by nie uwierzył, że markiz Fane, posiadacz wspaniałych koni, wielu rezydencji, licznych majątności, zamieszkał teraz w małej wiejskiej gospodzie w odległości dwóch mil od zamku Holm.

Był na tyle mądry, że nie ulokował się w miejscowej karczmie znajdującej się tuż przy bramie zamkowej. Niemniej plotkowano na jego temat i starzy ludzie sączący swoje piwo w gospodzie robili uwagi, gdy wczesnym rankiem, a potem kilkakrotnie w ciągu dnia mijał ich wyjeżdżając na koniu. Jednego tylko nie wiedzieli, bo krył się z tym bardzo starannie, że śledzi bacznie Cyrillę podczas konnych przejażdżek w towarzystwie ojca.

Choć ją widział z daleka, nie mógł się do niej zbliżyć, lecz było to lepsze niż wieczne rozmyślanie o niej. Gospoda, w której się zatrzymał, była wprawdzie czysta, lecz niezwykle prymitywna, ale markiz nie zwracał zupełnie uwagi na twarde łoże, na niemożność otrzymania wystarczającej ilości wody do mycia, na jedzenie, o którym jego służący mówili, że nie nadaje się nawet dla świń. To służącym bardziej dokuczały niewygody, brakowało rozrywek i komfortu, do jakiego przywykli w Fane House.

Dla markiza ważne było tylko to, że widuje Cyrillę. Zauważył, że w nowym kostiumie do konnej jazdy, w kapelusiku z woalką wygląda uroczo, niczym nieziemska zjawa. Ojciec stale jej towarzyszył, lecz markiz miał nadzieję, że znajdzie jakiś sposób, by zmiękczyć jego serce i uzyskać w końcu pozwolenie na ślub. Upłynął jednak tydzień i nic się nie wydarzyło.

Każdego dnia żywił tylko nadzieję, że Cyrilla sama wypuści się na przejażdżkę. W obecności księcia markiz nie ośmielał się zbliżyć do niej. Wiedział, że natrafi na ojcowski opór i niczego nie wskóra.

Dni mijały i książę wciąż towarzyszył Cyrilli. Po południu odbywali przejażdżki powozem i markiz obserwował ich ukryty wśród drzew. Cyrilla miała wówczas na głowie czepeczek zawiązany pod brodą kokardą. Patrzył na nią

wzruszony wspominając jej pocałunki i marząc, żeby znów ją trzymać w ramionach.

Rozdział 7

Cyrillo, mówię do ciebie!

- Och, przepraszam, papo.

Cyrilla zachowywała się tak, jakby jej dusza błądziła gdzieś daleko, książe wiedział jednak, o kim tak rozmyślała.

- Proponuję - powiedział przybierając miły ton - żebyśmy dziś po południu wypróbowali parę nowych koni, które właśnie zakupiłem na przyjazd Edmunda.

- Nowa para koni do powozu, czy tak papo?

- Tak. Kupiłem je w sąsiedztwie, są doskonałe, tylko jeszcze słabo wyszkolone. Zapłaciłem za nie umiarkowaną cenę.

- Wyobrażam sobie, że Edmund będzie zachwycony!

- Włóż czepek na głowę, a ja tymczasem powiem Burtonowi, żeby podstawił dla nas powóz.

Cyrilla wstała posłusznie i blado uśmiechnęła się do ojca. Patrzył za nią, gdy wychodziła z pokoju i uświadomił sobie, że bardzo zeszczuplała i że Hanna miała rację mówiąc, że niknie w oczach. Zastanawiał się, co powinien zrobić, lecz nic mu nie przychodziło do głowy.

Powóz księcia Holmbury różnił się od powozów markiza czy księcia Walii. Tamte były bardzo szybkie, wysokie i niebezpieczne. Ten miał wymalowane książęce herby i był zaprzężony w parę gniadoszy. Prezentował się wyśmienicie.

- Jedziemy niedaleko i nie będę was potrzebował - odezwał się książe do stajennych ruszając z miejsca.

Powodził znakomicie i Cyrilla widziała, że z wielką przyjemnością ćwiczy konie dla Edmunda.

- Liczę dni do powrotu brata - rzekła Cyrilla chcąc sprawić ojcu radość. - Teraz już potrafię dotrzymać mu kroku w konnej jeździe.

- Pamiętam, że zawsze się żaliłaś, że on zostawia cię w tyle, gdy jeździłaś jeszcze na kucyku - zauważył książe.

- Czułam się upokorzona, bo Edmund miał lepszego konia niż ja.

- Natomiast teraz jeździsz wyśmienicie.

- Myślę, że talent do jazdy konnej odziedziczyłam po tobie, papo - rzekła Cyrilla i przekonała się, że ojciec był rad z komplementu.

Minęli park i skierowali się na prawo brzegiem lasu.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Cyrilla.

- Moim celem jest nie tylko ćwiczenie koni - odparł książę - lecz także odwiedzenie Jacksona. - Przerwał na chwilę, a potem dodał: - Pamiętasz chyba Jacksona? To farmer, który mieszka tam w dole. Ciężko pracuje, bo to trudne do uprawy miejsce.

- Oczywiście, że go pamiętam - rzekła Cyrilla.

Jechali dalej i teraz zaczęli zjeżdżać ostro w dół. Zimą zawsze w tym miejscu stała woda, a przez cały rok też było mokro. Droga była jednak piękna, po obu jej stronach rosły krzaki ponad którymi w oddali widać było zamek. Książę trzymał mocno lejce, żeby konie nie biegły zbyt szybko, gdy nagle z gęstwiny wyskoczył jeleni. Zwierzęta przełękły się, jeden koń stanął dęba, drugi się spłoszył, lejce dostały się pod dyszel. Powóz zachwiał się, a potem konie poniosły na dół w szaleńczym galopie.

Książę ciągnął lejce z całych sił, lecz nie dawało to żadnego efektu. Zdawał sobie sprawę, że tam w dole znajduje się wąski kamienny most. Myślał z rozpaczą, że jeśli nie uda mu się uwolnić lejców spod dyszla i uspokoić szalejących koni roztrzaskają się na moście. Nie było wiele czasu. Zastanawiał się, czy powinien kazać Cyrilli, skakać z powozu, lecz to mogło okazać się jeszcze bardziej niebezpieczne. Most był już przed nimi. Nawet natężając wszystkie siły nie był w stanie zatrzymać koni.

Nagle nie wiadomo skąd pojawił się człowiek, który zeskoczył z konia i stanął pośrodku drogi. Książę pomyślał, że to jakiś szaleniec. Gdy powóz zbliżył się, mężczyzna rozpostarł ramiona i chwycił konie za uzdy trzymając je w żelaznym uścisku. Konie zmniejszyły bieg i książę pomyślał, że są uratowani. Trzymał cały czas mocno lejce, wiedząc, co zamierza mężczyzna. Tuż przed mostem powóz zatrzymał się. Teraz jeden z koni stanął dęba, a jego podkova uderzyła w głowę nieznajomego, który przyszedł im z pomocą. Jego uścisk zelżał i konie pociągnęły go za sobą parę kroków.

Książę usłyszał krzyk Cyrilli. W chwilę później dziewczyna wyskoczyła z powozu, gdy konie mijały rozciągnięte na ziemi ciało człowieka, który zatrzymał powóz. Książę wciąż mocno trzymał przerażone zwierzęta, a Cyrilla klęczała przy ciele markiza całując jego twarz i lejąc łzy.

Będą panu potrzebne nowe ubrania, milordzie.

- To prawda - odrzekł markiz przyglądając się sobie w lustrze.

Wydawało mu się to wprost nieprawdopodobne, że tak bardzo schudł. Uszyte z dzianiny obcisłe pantalone leżały jeszcze jako tako, lecz marynarka wisiała na nim żałośnie.

- Wielu dżentelmenów starało się dotychczas przybrać na wadze, żeby wyglądać jak wasza lordowska mość - powiedział służący - ale teraz będzie pan zupełnie innym człowiekiem.

W głosie lokaja brzmiała duma i markiz mógłby to uznać za zabawne, gdyby przysłuchiwał się jego gadaniu. Zastanawiał się właśnie, czy w sytuacji, kiedy doktor pozwolił mu wstać, książę nie zażąda, żeby opuścił jego dom. Nie widział się wprawdzie z gospodarzem od chwili, kiedy po wypadku przywieziono go na zamek.

Najpierw miejscowy lekarz, a potem doktor William Knifton sprowadzony z Londynu stwierdził, że ma złamane dwa zębra. Doznał też wielu potłuczeń, a wszystko razem było

bardzo bolesne. Lecz od tygodnia stan jego zdrowia nie budził już poważniejszych obaw. Kiedy po uderzeniu w głowę kopytem wrócił do przytomności, niewiele pamiętał z tego, co się stało. Potem przypomniał sobie, jak to śledził z ukrycia Cyrillę jadącą w towarzystwie ojca, jak jechał w ślad za nimi i jak nagle spostrzegł, że konie ponoszą.

Zdawał sobie sprawę, że księżę jedzie zbyt szybko, a gdy ujrzał, że jeleń spłoszył konie, spiął własnego rumaka ostrogą i ruszył naprzód. Wszystko to wydarzyło się w ułamku sekundy. Owładnęła nim tylko jedna myśl, że musi koniecznie ratować Cyrillę.

- Rozumiem - powiedział doktor Knifton, kiedy po raz trzeci odwiedził dostojnego pacjenta - że pragnął pan, milordzie, odegrać rolę bohatera! I otrzymał pan za swoją odwagę odznaczenia w postaci licznych obrażeń!

- Musi pan wiedzieć, doktorze, że są diabelnie bolesne - odrzekł markiz.

- I tak miał pan szczęście - stwierdził lekarz. - Mógł pan złamać rękę lub nogę i jeszcze gorzej.

Wiele wysiłku kosztowało doktora Kniftona, żeby wytłumaczyć pacjentowi, że jego połamane żebra wymagają czasu, żeby się zrosły. Z uwagi na atletyczną budowę chorego i to, że był wysportowany, należało się spodziewać szybkiego powrotu do zdrowia, co doktor oznajmił lokajowi pełniącemu przy markizie funkcję pielęgniarce.

- Spróbuj utrzymać go w łóżku tak długo, jak tylko się da - powiedział do służącego wychodząc. - A ponieważ chory nie lubi leżeć, masuj mu nogi, lecz nie dotykaj klatki piersiowej.

- Dobrze, panie doktorze - odparł Davis.

Był to niewysoki człowieczek służący u markiza od lat i bardzo do niego przywiązany. Pilnował sumiennie poleceń doktora, choć markiz odgrażał się, że nie pozwoli się

tyranizować. Teraz gdy już mógł wstać, okazało się, że czuje się całkiem dobrze.

- Chciałbym zejść na dół - powiedział. - Muszę wyjść trochę na świeże powietrze. Mam już dość tego pokoju i wszystkiego, co mnie tu otacza.

Nie była to prawda, i markiz doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Na stoliku pod oknem stały dwa wazony z liliami, na które patrzył stale. Te lilie ujrzał zaraz po odzyskaniu przytomności. Wiedział, kto je tu przysłał, domyślał się, że jest to rodzaj przesłania od Cyrilli zapewniający go o jej miłości. Gdy bardzo cierpiał, patrzył na nie i robiło mu się lżej, bo w każdym kwiecie jawiła mu się jej twarz.

Lilie były jedynym łącznikiem pomiędzy nim a mieszkańcami zamku. Księżę go nie odwiedzał, a Cyrilli zabroniono do niego przychodzić. Obsługiwał go jego własny lokaj. Pan Ashworth przyjeżdżał dwukrotnie z Londynu, lecz markiz nie był zainteresowany tym, co się dzieje w domu, więc sekretarz zrezygnował z dalszych wizyt. Prosił Davisa, żeby go wezwał, kiedy będzie potrzebny markizowi.

- Jego lordowska mość o niczym innym nie myśli jak o tych „piekielnych bólach” - mówił Davis.

Lecz pan Ashworth wiedział lepiej, co zaprzęta umysł markiza od chwili gdy na zamku ujrzał Cyrillę. Natychmiast skojarzył ją sobie z osobą przedstawioną na portrecie stojącym w sypialni markiza w Londynie i po powrocie do domu zapłacił detektywom za ich usługi, gdyż sądził, że nie będą już potrzebni.

- Jestem gotów - oznajmił markiz.

Spojrzał na biały krawat umiejętnie zawiązany przez Davisa w sposób, który był przedmiotem zazdrości wszystkich elegantów z ulicy św. Jakuba. Ktoś zapukał do drzwi, Davis je

otworzył, wymienił kilka zdań z przybyłą osobą, a potem podszedł do markiza i powiedział:

- Jego książęca mość byłby rad, gdyby pan, milordzie, zszedł do oranżerii.

Markiz westchnął. Miał nadzieję, że książę pozwoli mu zostać jeszcze trochę, żeby zdołał się wzmocnić, zanim dojdzie do rozmowy, która była nieunikniona. Pomyślał jednak, że może lepiej to niemiłe spotkanie mieć już za sobą. Doszedł do wniosku, że zanim książę zdoła wyrzucić go z zamku, musi koniecznie spotkać się z Cyrillą. Byłoby straszne, gdyby musiał wyjechać nie powiedziawszy jej, że ją kocha i że za wszelką cenę będzie starał się znaleźć jakieś rozwiązanie.

Przez wszystkie te tygodnie, które minęły od chwili, kiedy odzyskał przytomność, markiz leżał i zastanawiał się, jak wpłynąć na księcia, żeby zmienił swoją decyzję i pozwolił na ich ślub. Nie wydawało mu się, żeby fakt, iż uratował życie jemu i Cyrilli, mógł mieć na to jakiś wpływ. Wiedział, że książę nienawidzi go i pogardza nim od dawna, gdy jeszcze sprawa córki nie wchodziła w ogóle w rachubę. Książę należał do tych, którzy mieli w pogardzie ludzi z kręgu księcia Walii i zachowywali niezłomną lojalność dla szalonego króla Jerzego.

Markiz od dawna rozważał całą sprawę i stracił już niemal nadzieję na wspólne życie przy boku Cyrilli. Idąc teraz w stronę drzwi, zatrzymał się przy wazonach z liliami stojącymi pod oknem. Słońce oświetlało je rzucając na nie złociste błyski i markizowi wydawało się, że taki sam blask bije od głowy Cyrilli przedstawionej na obrazie Lochnera. Czuł, że bez niej jego życie nie ma sensu, i żałował już, że nie zginął podczas wypadku z końmi.

- Nie będę żyć bez niej! - powtarzał z rozpaczą.

Lecz jak wytłumaczyć księciu, że jego uczucie jest prawdziwe. Od chwili poznania Cyrilli bardzo się zmienił,

lepiej rozumiał ludzi, był zdolny do uczuć o jakich dotychczas nie miał pojęcia. Gdy myślał o swoich postępach w ciągu ostatnich kilku lat, sam był nimi zaszokowany. Zdał sobie sprawę, że był nieczułym, próżnym, zimnym egoistą. Miłość do Cyrilli sprawiła, że jego udziałem stało się cierpienie. Postanowił, że w przyszłości będzie bardziej wyrozumiały i współczujący wobec innych ludzi.

- Proszę uważać, wasza lordowska mość, i unikać wysiłku - odezwał się Dawis. - Będę czekał na pana na dole. Przed kolacją musi się pan koniecznie położyć i wypocząć.

Markiz pomyślał, że być może nie będzie mu już dane dłużej wypoczywać w zamku. Ale nic nie powiedział Davisowi i poklepawszy go po ramieniu wyraził mu bez słów swoją wdzięczność za opiekę. Davis zrozumiał ten gest i odprowadził swego pana wzrokiem wiernego psa. Markiz schodził po schodach bardzo uważnie, trzymając się poręczy. Nie sprawiało mu to trudności, bo dzięki masażom jego mięśnie były sprawne. Gdy znalazł się w holu, zwrócił się do stojącego tam lokaja:

- Pokaż mi, proszę, drogę do oranżerii.

- Tak jest, milordzie.

Młody chłopak był rad, że może usłużyć człowiekowi, którego podziwiał jako zwycięzcę na torze wyścigowym. I choć markiz nie zdawał sobie z tego sprawy, wszyscy wiedzieli, że uratował Cyrillę i księcia przed bardzo groźnym wypadkiem. Nawet chłopci siedzący w karczmie przy piwie o nim rozprawiali.

- Siłacz z niego nie lada - mówili. Markiz szedł korytarzem wiodącym w stronę

oranżerii przybudowanej do południowej ściany zamku. Dziwiło go, że to właśnie miejsce wybrał gospodarz celem odbycia z nim poważnej rozmowy. Wiedział jednak od Davisa o szczególnym zainteresowaniu księcia rzadkimi okazami

roślin, zwłaszcza orchidei. Przypuszczał, że z oranżerii pochodziły lilie, które mu przesyłała Cyrilla. Bardzo pragnął jej za nie podziękować i powiedzieć, że w najtrudniejszych momentach przynosiły mu ukojenie. Te lilie były równie piękne, białe i czyste jak ona sama. Wiązały się z obrazem namalowanym przez Lochnera.

„Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia!” - pomyślał markiz.

Miłość, której doświadczył wówczas, wciąż rosła i obecnie przesłaniała mu cały świat. Tak rozmyślając doszedł do oranżerii, lokaj otworzył przed nim drzwi i markiz znalazł się w ciepłym pachnącym wnętrzu. Hodowano tu różne gatunki orchidei, egzotyczne rośliny pochodzące z dalekich krain, piękne azalie ze zboczy Himalajów.

Pośrodku stała fontanna oświetlona światłem padającym przez wysokie okna. Woda spływała szemrząc do kamiennego basenu. Markiz rozejrzał się w poszukiwaniu księcia, gdy nagle spoza obmurowania fontanny wyłoniła się Cyrilla. Stał jak wryty. Wprost oczom nie wierzył, że ją widzi naprawdę. Ale to była ona, równie piękna jak lilie w jego sypialni. Zbliżyła się ku niemu wolnym krokiem.

- Już wstałeś! Nie sądziłam, że... czujesz się na tyle dobrze ...

- Czuję się świetnie - odparł markiz. Ich usta wypowiadały konwencjonalne słowa, lecz oczy wyrażały gorącą miłość.

- Tak się bałam ... tak bardzo się martwiłam ... - powiedziała ledwo dosłyszalnym głosem. - Wprawdzie mówiono, że czujesz się lepiej, ale... nie przypuszczałam...

- Ale jak widzisz, stanąłem na nogi.

- Byłeś taki dzielny, taki odważny - wyszeptała Cyrilla. - Zanim nas uratowałeś, już myślałam, że umrę i nigdy cię nie zobaczę. - Mówiła zbolalym głosem i markiz wyciągnął ku

niej ręce, a ona podała mu swoje. - Usiądźmy, nie możesz się męczyć - rzekła.

- Nic mi nie jest, jeśli ciebie widzę - odrzekł markiz.

Pociągnęła go w stronę marmurowej ławeczki przykrytej poduszkami. Usiedli patrząc sobie wciąż w oczy. Markiz podziwiał urodę Cyrilli, a jednocześnie uświadomił sobie, że bardzo zeszcupiała i jej twarz miała bardziej uduchowiony wyraz niż przedtem. Jej oczy wydawały się jeszcze większe i markiz pomyślał, że musiała wiele wycierpieć.

- Czy czujesz się dobrze, kochanie? - zapytał.

Cyrilla potrząsnęła głową.

- Bardzo się martwiłam o ciebie - rzekła.

- A ja wciąż o tobie myślałem - powiedział. - Już prawie straciłem nadzieję, że cię zobaczę. Zapach lilii dodawał mi otuchy.

- Chciałam, żebyś zrozumiał, że nie wolno mi pisać do ciebie ani ... ciebie widywać.

- I zrozumiałem - rzekł. - Ale co zrobimy z naszą przyszłością?

Palce Cyrilli zadrżały w jego dłoni.

- Co mówi twój ojciec?

- Nic nie mówi i to właśnie jest najgorsze - odparła. - Myślałam, że będzie chciał ze mną porozmawiać, lecz tego nie zrobił.

- Ja z nim pomówię - rzekł markiz. - Myślałem, że tu go spotkam.

- Posłał po ciebie?

- Tak.

- To dziwne.

- Czemu?

- Ponieważ i mnie kazał przyjść do oranżerii. - Spojrzała na markiza i zawołała: - On chciał, żebyśmy się spotkali!

- Może chciał, żebyśmy się pożegnali - powiedział markiz. - To byłby z jego strony dowód wielkiej łaskawości.

- Pożegnali się? Jak to możliwe?

- Ja też się nad tym zastanawiam - rzekł markiz. - Och, kochanie, tyle chciałbym ci powiedzieć, tyle rzeczy wytłumaczyć.

Położyła palec na jego ustach.

- Nic nie mów - rzekła. - Wszystko przemyślałam i wiele zrozumiałam.

- Co zrozumiałaś? - zapytał.

- Mogę oczywiście się mylić - powiedziała z wahaniem - ale skoro chciałeś, żebyśmy byli razem, nie zależało ci jednocześnie na małżeństwie.

- Jesteś wspaniała! - rzekł. - Zrozumiałaś, czego nie potrafiłaby pojąć żadna inna kobieta. Taka była prawda, lecz nie sądziłem, że mi kiedykolwiek uwierzysz. - Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej: - Kiedy uświadomiłem sobie, że to cię zraniło, pomyślałem, że zachowałem się jak dureń, i wyrzuciłem sobie swoją głupotę.

- Ja także byłem głupia, że ... nie pojęłam twoich intencji - zaczęła. - Po doświadczeniach mamy, która uciekła z Franssem Wyntackiem, wydawało mi się to wszystko okropne. Myślałam, że coś takiego zniweczyłoby naszą miłość.

- Masz rację - odparł markiz. - Gdybyś mi tylko o tym powiedziała ...

- Wiele rozmyślałam - przerwała Cyrilla. - Teraz już wiem, że miłość jest najważniejsza, silniejsza niż potrzeba zamążpójścia. - Westchnęła i dodała: - Jeśli wciąż chcesz być ze mną, a papa nie da nam zgody na ślub, ucieknę z tobą.

- Czy sądzisz, że pozwoliłbym na to - odrzekł markiz ściskając ją za rękę. - Chcę, żebyś mnie poślubiła, żebyś już zawsze była ze mną, lecz podziwiam twoją odwagę.

- Jeśli nie uciekniemy razem i nie będziemy mogli się pobrać, to jak będziemy żyli?

- Już wiele razy zadawałem sobie to pytanie - odrzekł markiz.

- Modłę się o cud i wierzę, że wszystko się ułoży - wyszeptała - lecz czasami wydaje mi się, że moich modłów nikt nie słucha, nawet mama.

- Ona z pewnością by zrozumiała, co czujesz.

- Może ona uważa, że źle postąpiłam, że cię nie posłuchałam i nie uciekłam z tobą - rzekła. - Bylibyśmy już razem w domku z ogrodem.

- To ty miałaś wówczas rację - rzekł markiz. - Kochałem cię wtedy, ale nie tak, jak na to zasługujesz. Teraz cię uwielbiam i nie chcę cię skrzywdzić.

- Nie czułabym się skrzywdzona będąc z tobą.

- Ale to nie byłoby w porządku - oświadczył markiz. - Wszystko, co ciebie dotyczy, musi być jasne i czyste. Jeśli twój ojciec nie pozwoli nam się pobrać, odejdę.

- Nie zrobisz tego! Wolałabym raczej umrzeć! - wyszeptała.

Markiz spojrział na nią zbolalym wzrokiem i w jej oczach dostrzegł także cierpienie. Nagle usłyszeli, że drzwi oranżerii otwarły się i ktoś zbliżał się ku nim. Choć żadne z nich nie odwróciło głowy, wiedzieli, kto idzie. Markiz czuł się tak, jakby się znalazł na krawędzi przepaści. Ścisnął Cyrille za rękę i z wielkim wysiłkiem odwrócił się w stronę księcia, który stał za ich plecami z poważnym wyrazem twarzy. Chciał zerwać się z miejsca, lecz księżę powstrzymał go gestem dłoni.

- Nie wstawaj, Fane - powiedział. - Musisz się oszczędzać.

- Chciałbym podziękować waszej wysokości za gościnę - powiedział oficjalnym tonem.

Jego myśli wracały z daleka, był jeszcze pod wrażeniem miłosnych wyznań.

- Mówiono mi, że wraca pan do zdrowia - odezwał się książę.

- Czy mógłbym porozmawiać z waszą wysokością - powiedział markiz z wahaniem.

Mówiąc to uświadomił sobie, że książę wpatruje się w Cyrillę, w jej bladą twarz i wzniesione błagalnie ku niemu oczy. Cały czas trzymała markiza kurczowo za rękę, jakby w obawie, że mogą zostać rozłączeni. Upłynęło wiele czasu - tak się przynajmniej markizowi zdawało - zanim książę zwrócił się do Cyrilli:

- Myślę, moja droga, że za dziesięć minut możesz poprosić naszego gościa do błękitnego saloniku. Napijemy się tam herbaty i jeśli nie jest zbyt zmęczony, zrobimy plany.

- Jakie plany? - zapytała Cyrilla.

- Ślub, niezależnie od tego, czy cichy, czy uroczysty, wymaga wielu przygotowań. Musimy wybrać taki dzień, kiedy ogród będzie wyglądał najpiękniej.

Książę wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Markiz i Cyrilla nie byli w stanie wykonać najmniejszego ruchu, tak bardzo byli zaskoczeni.

- Czy on to rzeczywiście powiedział, czy mi się przesłyszało? - zapytała.

- Słyszeliśmy oboje! - wykrzyknął markiz triumfalnie. - Wygraliśmy! Czy to rozumiesz?!

Przytulił ją do siebie mocno.

- Możemy się pobrać, kochanie. Niedługo będziesz już moja. - Cyrilla przytuliła twarz do jego piersi, a on dodał innym tonem: - Ty płaczesz, kochanie, nie trzeba!

- Wprost nie chce mi się wierzyć, że to prawda! Płaczę ze szczęścia.

Markiz czuł, że sam również jest bliski łez. Wraz ze zdobyciem pozwolenia na ślub poczuł wielką ulgę. Ujął podbródek Cyrilli i zwrócił jej twarz ku sobie.

- Koniec ze smutkiem - powiedział. - Teraz już będzie tylko radość.

Jej oczy śmiały się, choć po jej policzkach toczyły się łzy.

- Kocham cię - rzekł. - Uczynię cię szczęśliwą. Nigdy już nie będziesz płakała.

I zaczął ją całować. Był to cud, o jakim marzyła. Już nie błąkała się w ciemności, ogarnęło ją boskie światło.

- Kocham cię! - zawołała. Markiz przytulił ją jeszcze mocniej.

- To miłość nas połączyła i pomogła nam przewyciężyć wszelkie przeciwności - rzekł.

- Miłość jest cudowna - powiedziała Cyrilla. - Teraz wiem coś, czego na pewno nigdy nie zapomnę.

- Co takiego? - zapytał.

- Że prawdziwa miłość pochodzi od Boga i że nie sposób się jej sprzeciwić.

- Próbowaliśmy tego oboje - powiedział markiz - ale jest ona silniejsza od nas. Nawet twój ojciec musiał w końcu ulec.

- Musimy podziękować Bogu za tę wielką łaskę.

- Uważam, kochanie, że to On mi ciebie podarował: jesteś dobra, czysta, doskonała. Pomożesz mi się stać lepszym.

Cyrilla uśmiechnęła się do niego.

- Pragnę ci pomagać - rzekła - ale nie chcę, żebyś był inny, ponieważ kocham cię właśnie takim. Jesteś mężczyzną o jakim marzyłam: delikatnym i odważnym. Jakie to szczęście, że cię spotkałam.

- Byliśmy sobie przeznaczeni - powiedział markiz.

Był o tym głęboko przekonany. Wszystkie wydarzenia od początku do końca na to wskazywały. Milczał przez chwilę, a Cyrilla przypatrywała mu się badawczo.

- Zastanawiasz się nad zbiegiem okoliczności, które nas połączyły? - zapytała.

- Tak, ale właściwie to myślę o tobie - rzekł. - O niczym innym myśleć nie mogę.

- To tak jak ja - odrzekła. - Byłeś blisko, a ja nie mogłam wejść do twojego pokoju.

Czasami stałam pod drzwiami w nadziei, że usłyszę twój głos.

- W przyszłości to się już nie zdarzy - rzekł. - Będiesz zawsze przy mnie.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Uwielbiam cię! - powiedział. - Kiedy się pobierzemy?

- Ogród wygląda pięknie ... właśnie teraz!

- Chodźmy do twojego ojca - rzekł markiz. - Wpłyn na niego, żeby pozwolił na szybki ślub, bo inaczej zamienimy się oboje w widma snujące się po zamku.

- Tego bym nie zniosła - rzekła. Wstali obydwój i znów poczęli się całować.

Cyrilla czuła, że pocałunki markiza palą ją jak ogień, lecz bardzo ich pragnęła. Nie rozumiała wszystkich swoich doznań, ale wiedziała, że to była miłość. Miłość, przed którą nie ma ucieczki, której istnienia nie sposób zaprzeczyć.